Nr. 46. Poznań, Niedziela, dnia 16-go Listopada 1902 r. Rok VI



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie 1,25 mk.; na poczcie w Austro-Węgrzech 1 kor. 73 hal.
Pod opaską: w Niemczech 1,00 mr., w Austro-Węgrzech 2 kor. 30 hal., za Oceanem 1 dol. 25 cent.
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ul. Rycerskiej Nr. 38. — Telefon Nr. 1246.

Pod adresem „Gońca Wielkopolskiego."

Na wszystkie anonymowe i niedopowiedziane napaści organu narodowej demokracyi nasza odpowiedź:

Wszystko co powiedzieliśmy w oświadczeniu naszem (patrz n. 44 i 45) powtarzamy i podtrzymujemy kategorycznie i bez zastrzeżeń.

Nie pertraktowaliśmy nigdy o sprzedaż „Pracy" ani z jakimbądź Moskalem i z nikim, kto występowałby z poręki społeczeństwa rosyjskiego.

Wogóle nie toczyliśmy o sprzedaż „Pracy" żadnych *rokowań* ani też nie nosimy się z podobną myślą. O własnej sile zatknęliśmy sztandar, dzierżymy go — służąc społeczeństwu uczciwie i ufamy, że starczą nam siły, by wytrwać przy nim i nie ustąpić z posterunku.

Wprawdzie mieliśmy dwie propozycye kupna od powszechnie i wysoko szanowanych obywateli wielkopolskich, wszelako *zaznaczamy wyraźnie*, że tych propozycyi nie braliśmy pod ścisłą rozwagę, lecz pozostawili je bez odpowiedzi.

Oto wszystko co wiemy w sprawie sprzedaży „Pracy".

Jeżeli „Goniec" lepiej jest od nas poinformowanym, — niechaj powie wszystko — niech ogłosi cały swój t. z. materyał — niechaj nas nie oszczędza. Niech nie czeka sądów obywatelskich czy rozjemczych, niech społeczeństwo samo będzie naszym sędzią.

Moglibyśmy przypomnieć, że niedawno sam wydawca „Gońca" ofiarował nam kupno swego pisma, ale wstrętnem nam jest popadać w ton brukowej polemiki „Gońca". Z tego powodu nie zamieścimy też nadesłanej nam korespondencyi z Gdańska, dotyczącej wydawcy „Gońca."

W naszych oczach prasa ma inne — szczytne zadanie, a my, którzy dzierzymy posłannictwo słowa, mamy inne cele. Wzniosła praca około dobra publicznego nie pozwala nam kalać rąk brudem, dlatego od „Gońcowych" insynuacy odwracamy się z pogardą.

I to nasze ostatnie słowo.

Marcin Biedermann.

Pałac cesarski
w Poznaniu.

Hakata szaleje z radości! Poznań ma otrzymać pałac cesarski, co więcej, w pałacu tym ma stale rezydować jeden z książąt pruskich, może nawet następca tronu. Co za radość, co za rozkosz. Teraz już napewno będzie „finis Poloniae" w zaborze pruskim, spełnią się marzenia germanizatorów, nowoczesnych krzyżaków. Czyż bowiem ludność polska zdoła się oprzeć blaskowi cesarskiej rezydencyi? Przenigdy! Jedni — nieprzejednani — uczują wobec niego całą swą słabość, niższość i nicość i popadną w czarną melancholię, w której tylko rychłej śmierci życzyć sobie będą — drudzy, znów doznają dreszczów rozkoszy, zapragną uczestniczyć w ucztach, w przyjęciach dworskich, pozazdraszczą Niemcom fraków szambelańskich, pończoch i orderów i hurmem przylgną do nowej świetności, dziwiąc się, że tak długo mogli trwać w poniżającem odosobnieniu. I wszystko „*dobry*" weźmie obrot, zmarnieją niepoprawni, mędrsi się zniemczą i od razu rozwiązana będzie cała kwestya polska w Prusach.

Tak rozumują rozmaite organa hakaty, witając wiadomość o zamierzonem wybudowaniu pałacu cesarskiego w Poznaniu wrzaskiem radości. Nawet rozważniejsze ulegają ogólnemu zachwytowi. Ten i ów ma wprawdzie jeszcze pewne wątpliwości co do skutków nowego planu tego, ponieważ atoli przyniesie on Niemcom niebo rozkoszy dworskich, więc ostatecznie każdy cieszy się w duszy i nadzieją błogich czasów truje robaka niepewności. Nadmienić jeszcze wypada, że jedna z gazet hakatystycznych zwróciła na to uwagę, iz nie trza budować nowego pałacu, boć stoi jeszcze dawny królewski gród Przemysława na zamkowej górze, w którym mieści się obecnie archiwum. Więc raczej ten odnowić, niż budować nowy. Będzie to w każdym razie taniej — a znajdzie się przytem także urok tradycyi....

A my — cóż na to?

A no! My patrzymy na tę radość niemiecką z szczerem politowaniem i z najzimniejszym spokojem. Ani nas ona nie wzrusza, ani nie nabawia obawy. Widzimy przytem z niemałem zdziwieniem, że dziś zmieniły się role, że rozmaite złudzenia stały się właściwością Niemców, podczas gdy my realnie i chłodno spoglądamy na wszystko.

Pałac cesarski w Poznaniu — to w gruncie rzeczy dla nas rzecz zupełnie obojętna. Przypuszczamy, że zbudowany zostanie kosztem korony, a nie skarbu państwa, że przeto z naszych ciężkich podatków nic na ten cel nie popłynie. Będzie on dla nas zawsze *tylko oznaką polityki antypolskiej, tego systemu, który tak dotkliwie daje się nam we znaki.* Będzie nam więc przypominał jedynie niedolę naszą — no i do nowej zachęcał pracy odpornej.

Korzyści, któreby zachwiać mogły słabemi duchami wśród *szerszych* kół naszych, także nam nie przyniesie. Już to hakatyści postarają się o to, ażeby wszelkie dostawy etc. otrzymywali Niemcy. Więc i pod tym względem szkody nam nie wyrządzi.

A co się tyczy słabych duchów w wyższych społecznych regionach to chyba dni *wrześniowe* wykazały już dostatecznie, że jest ich bardzo, bardzo mało. Zresztą przez to, że Poznań będzie *stałą* rezydencyą rodziny cesarskiej, nie jedno ,co jeszcze we wrześniu wabiło ciekawe umysły, *spowszednieje i przestanie wabić.* I tak ani świat się nie skończy, ani Poznań nie zniemczy przez taki pałac, ani nic się wogóle nie zmieni. Sto lat pruskich rządów tak nas otrzeźwiło z wszystkich iluzyi, tak nas zapoznało z systemem pruskim, że dziś niczem nas nie wynarodowicie, ani papką ani czapką, ani prośbą ani groźbą. Pozostaniemy Polakami, chociażby i sto pałaców stanęło w Poznaniu!

Cieszymy się jedynie, że myśl zamienienia na pałac dawnego zamku królewskiego nie zyskała poklasku. Sprzeciwiałoby się to tradycyom, uczuciom no i.... nadziejom naszym.

Gdy nas niedola cięższej jeszcze przygniecie, gdy „ojcowski‟ system pruski znów łzy nam wyciśnie, nie pójdziemy się skarżyć do „pałacu,‟ lecz do *tumu naszego,* do ołtarzy pańskich i do *złotej kaplicy* — która jest — *naszym pałacem królewskim.*

Narodowiec.

Skutki zejścia na manowce.

Rozmyślne niejako ze strony pewnych kół i jednej części prasy naszej spaczenie dyskusyi nad wnioskiem posła Chrzanowskiego zemściło się srogo. Wytworzyło przykre niesnaski, zrodziło niechęć jednych warstw do drugich, zaprawiło goryczą wiele serc bratnich. Chciano ratować solidarność Koła poselskiego, a oto narażono na szwank — *solidarność całego społeczeństwa.* Głos Ziemianina, jaki się pojawił w Nr. 254 „Dziennika Poznańskiego‟ — świadczy o tem aż nadto wymownie. Wzywa on rolników wielkich i małych do otwartej walki z przeciwnikami ceł, niejako do pokazania, kto panem w domu. Wezwanie to zrozumiano ogólnie jako wezwanie do nowej walki domowej. Znów więc doczekaliśmy się tego, że wskutek własnej naszej niezdarności, naszej niechęci do rozstrząsania wielkich zadań — myśl dobra na złe nam wychodzi.

Czy do tego dojść musiało? Bynajmniej! Czego żądał poseł pan Chrzanowski? Czy tego, ażeby *całe Koło polskie* oświadczyło się *przeciwko* cłom? Gdzież tam! Zwrócił on tylko uwagę na to, że co do ceł oraz co do innych kwestyi ekonomicznych zachodzą w społeczeństwie naszem *sprzeczne* interesy. Nie wszystkie warstwy i nie wszystkie części zaboru naszego mają w tem interes, ażeby zaprowadzono na zboże cła bardzo wysokie. Mianowicie ludność *polskiego Śląska,* żyjąca przeważnie z przemysłu, nie może życzyć sobie wysokich ceł na ten najniezbędniejszy artykuł żywności. Ponieważ zaś powrót ludności tej do macierzy także pod politycznym względem jest już kwestyą najbliższej przyszłości i gwałtem niemal ciśnie się na porządek dzienny, więc aby nie przeszkadzać temu, lepiej by może było, gdyby zniesiono bezwzględną solidarność Koła i pozwolono członkom jego w sprawach *ekonomicznych* głosować odpowiednio do interesów swych okręgów wyborczych i własnych przekonań. Inaczej trudno będzie żądać od Ślązaków, aby wzmocnili szeregi Koła polskiego, gdyż nieraz zdarzyć by się mogło, że w sprawach ekonomicznych posłowie śląscy zniewoleni by byli w myśl solidarności albo milczeć, albo nawet głosować wbrew interesom swych wyborców.

Tak ujął tę kwestyą poseł .p Chrzanowski i tej jego myśli żywo przyklasnęliśmy. Wziął on w rachubę jako *społeczeństwo polskie,* reprezentowane przez Koło polskie w Berlinie, nie tylko Księstwo i Prusy Zachodnie, ale także *Śląsk, Warmią i Wychodztwo* nasze, czyli cały rzeczywisty *ogół polski.* I tak też zawsze dziać się powinno. Społeczeństwem polskiem w granicach dzisiejszego cesarstwa niemieckiego *nie jest ludność jednej tylko dzielnicy — lecz cała ludność polska,* i każda jej część ma równe prawo żądać, aby się z nią liczono i o jej dobro dbano.

Tymczasem cóż się stało? Niektórzy nasi mężowie stanu i niektóre nasze organa zarówno na prawicy jak i na lewicy, boją się jak ognia rozwinięcia sprawy śląskiej i publicznej nad nią dyskusyi. Nie będziemy tu szczegółowo rozstrząsali pytania: „dlaczego?‟ — powiemy tylko krótko, że z przyczyn, nielicujących ani z interesem, ani z godnością narodu naszego. Dość, że sprawę śląską zaraz wyeliminowano z dyskusyi, jak gdyby wcale nie istniała lub była zgoła podrzędną. Kierownicy opinii publicznej, którzy to uczynili, przypuszczali widocznie, że przez to, to jest przez ograniczenie dyskusyi i całej kwestyi do Księstwa i co najwyżej Prus zachodnich, uproszczą sobie sprawę, ułatwią zadanie, a mianowicie — zwalczanie myśli i wniosku posła Chrzanowskiego. Lecz grubo się zawiedli.

Gdyby byli wzięli w rachubę również *cały* ogół polski, byłaby dyskusya przybrała charakter poważniejszy, gdyż byłyby wchodziły w grę kwestye wielkiej *ogólnej* doniosłości. Tak zaś wykluczając z niej wzgląd najważniejszy, nadali jej kierunek jednostronny, niemal *zaściankowy.* Wskutek zaś szczególnej niezręczności, a może i złej woli niektórych organów spaczyła się dyskusya bardziej jeszcze i z kwestyi

solidarności poszła wyłącznie na kwestyą, czy *cła są potrzebne lub nie.* I tu właśnie przybrała charakter przykry, wywołała kwasy i gorycz.

Inaczej bowiem przedstawia się sprawa ceł, gdy się ją ocenia ze stanowiska *całego ogółu polskiego* w zaborze pruskim, a inaczej z punktu interesów *jednej dzielnicy* — mianowicie W. Ks. Poznańskiego. Tu jeszcze można twierdzić z pewną słusznością, że podstawą bytu ludności jest rolnictwo; nie można atoli twierdzić tego, gdy się uwzględni stosunki *całego* ogółu. A właśnie prasa poznańska zgrzeszyła tem, że występowała jedynie w imię interesów *swej* dzielnicy. To wywołało burzę. Odezwała się zaraz prasa zachodnio pruska i zajęła przeciwne stanowisko, jeszcze zaś ostrzej wystąpił contra organ polski w Berlinie, reprezentujący wychodźtwo. I to dolało oliwy do ognia. Doszło wreszcie do tego, że niektóre organa, przeciwne cłom, broniły solidarności w Kole jedynie dlatego, ażeby za jej pomocą przeciwnicy ceł w Kole mogli zmusić zwolenników ceł do głosowania po ich myśli, że tak samo działo się na odwrót czyli, że zredukowano solidarność Koła do roli *instrumentu,* zapewniającego chwilowej większości Koła możność krępowania mniejszości we *wszystkich* sprawach — wbrew interesom *ogółu.*

Z tak spaczonej dyskusyi musiało wyniknąć ogólne rozgoryczenie — którego następstwem był ów „głos ziemianina“ w „Dzienniku Poznańskim.“ Z chwilą gdy przestano się liczyć *z ogólnem* dobrem, gdy jedna strona występowała przeciwko cłom jedynie ze względu na *Poznań* i kilka innych większych miast Księstwa, druga ze względu na niektóre okręgi *Prus zachodnich,* trzecia ze względu na *wychodźtwo,* — rolnicy w Poznańskiem odzyskali zupełne prawo upomnienia się o to, ażeby *przedewszystkiem ich* interes uwzględniono. Bo polskie rolnictwo w Poznańskiem jest zawsze jeszcze czynnikiem tak ważnym i potężnym, że na szali interesów *ściślejszego* społeczeństwa polskiego, a więc Księstwa, Prus zachodnich i wychodźtwa słusznie przeważać winno. Przewaga ta upada natomiast od razu, gdy na szalę przeciwną włoży się *Ślązk,* z jego przeszło milionową ludnością polską, z niezmierną *polityczną* doniosłością jego odrodzenia i zupełnego odzyskania. Dla Ślązka można żądać od rolników w Poznańskiem pewnej ofiary, a conajmniej pewnego ustępstwa z ich interesów, dla innych względów nie!

To też jakkolwiek bardzo ubolewamy nad owym *„głosem ziemianina“* i nad zawartem w nim wezwaniem do walki domowej, nie możemy autorowi jego odmówić prawa do przemawiania w ten sposób. Że doszło do tego, temu nie winni nasi ziemianie, lecz ci, którzy spaczyli dyskusyą i całą sprawę, którzy z niej wyeliminowali *wielką ideę,* a w miejsce jej postawili interesy zaściankowe — względnie prowincyonalne. Idziemy jeszcze dalej i twierdzimy, że z chwilą wyłączenia Ślązka z poruszonej przez posła Chrzanowskiego kwestyi — sprawa ograniczenia solidarności w Kole stała się wręcz *bezprzedmiotową.*

Dziś mamy nadzieję, że do walki, do jakiej wzywa *„głos ziemianina“* wcale nie przyjdzie. Kwestya ceł rozstrzygnie się niezawodnie rychlej, niżby na zebraniach paść mogły pierwsze strzały, a rozstrzygnie się niezawodnie po myśli przeciwników wyższych ceł i *bez decydującego* współudziału naszego Koła. To atoli nie wyklucza, że kwestya ograniczenia solidarności w Kołach naszych do spraw wyłącznie *narodowych* wróci jeszcze pod dyskusye. Wrócić ona *musi.* Sprawy *Ślązka* długo już bez niezmiernej szkody dla całego naszego życia narodowego ignorować nie będzie można. A gdy *z musu* stanie się aktualną, niejedno u nas inaczej ułożyć i uregulować będzie trzeba.

Wówczas już nie będzie można twierdzić, że rolnictwo jest *główną* podstawą bytu polskiego społeczeństwa w granicach monarchii pruskiej. Być może, że będzie to przykrem dla naszych ziemian, ale uniknąć się tego nieda. Niechże wezmą pod rozwagę, że chodzi tu o przeszło milion wiernego, polskiego ludu, zasługującego tem bardziej na miłość naszą, iż w najtrudniejszych warunkach bytu, opuszczony i odepchnięty od macierzy, przechował swe skarby narodowe i dziś otc pragnie wzmocnić nasze szeregi. Niechże wezmą pod rozwagę ogromną doniosłość faktu tego pod *politycznym* i *narodowym* względem — i niech dla faktu tego drobną chociaż złożą ofiarę z własnych interesów, interesów *stanu swego.* Wzgląd na Ślązk powinien nakładać agrarnym ich dążnościom pewne pęta, powinien usposabiać ich pojednawczo. I ci, którzy dziś tak unikają dyskusyi o Ślązku, którzy spaczyli także dyskusyą poruszoną przez posła Chrzanowskiego, niech się dobrze zastanowią nad tem, czy przypadkowo dziwnym tym swoim uporem nie wyrządzają ogromnej szkody — *całej sprawie polskiej!*

Ślązk przeobrazi zupełnie wewnętrzny ustrój społeczeństwa naszego, to prawda, ale przyniesie nam *świeże soki,* które bujny owoc wydadzą w przyszłości. To zaś ważniejsze dla *ogółu,* niż upieranie się przy bardzo wysokich cłach na zboże!

Także ziemianin.

Słówko do naszych robotników wiejskich

Wiadomo już z prasy codziennej, że rząd rosyjski, ulegając skargom ziemian polskich w *Koronie,* zamierza niejako zamknąć granicę swą dla wychodźtwa robotników tamtejszych do Prus i zatrzymać ich w kraju.

Ci bowiem tylko mają otrzymać pozwolenie na wyjazd lub wyjście za granicę, którzy pozostaną po zaspokojeniu potrzeby rąk do pracy w tamtejszem rolnictwie. Jeźli zamiar ten zostanie wykonany, natenczas bodaj czy dziesiąta część tej liczby robotników zakordonowych, która szukała dotychczas zarobku u nas, przepuszczoną zostanie przez granicę. W podobny sposób pragnie utrudnić wychodźtwo tak zw. robotników sezonowych *Galicya.* I tam mają powstać krajowe biura pośrednictwa pracy, mają być zarządzone rozmaite obostrzenia, aby powstrzymać robotników od wychodźtwa. I z tejwięc strony może się już w najbliższych latach zmniejszyć podaż rąk do pracy dla rolnictwa w naszych dzielnicach bardzo znacznie.

To też nic dziwnego, że rolnicy nasi, zwłaszcza na większych obszarach z trwogą patrzą w przyszłość. Że u nas braknie robotników w rolnictwie, to jest faktem. Tysiące robotników naszych szukają pracy i lepszych rzekomo zarobków na obczyźnie, w głębi Niemiec.

Ruch ten nie ustanie tak rychło, jeźli wogóle kiedykolwiek ustanie, wzmagać się nawet będzie w miarę, jak przemysł niemiecki na zachodzie po dzisiejszym zastoju znów rozwijać się zacznie pomyślniej. Naturalny przyrost ludności w naszych dzielnicach nie jest zaś w stanie wypełnić tego krociowego ubytku. Rolnictwu naszemu grozi więc naprawdę wielkie niebezpieczeństwo.

W stosunkach, w jakich żyć musimy z łaski rządu pruskiego, wobec wypierania nas ze wszystkich stanowisk, prześladowania naszych właściwości narodowych, wobec bojkotu, jaki prowadzi przeciwko nam hakata, musimy

na wszystko zapatrywać się wyłącznie ze stanowiska *własnego naszego*, a więc *polskiego* interesu. Tak i w tej kwestyi robotniczej. Z tego zaś stanowiska sądząc, stwierdzić musimy, że jakkolwiek braknie sił roboczych w rolnictwie dzielnic polskich *wogóle*, *tak ich nie powinno braknąć dla rolnictwa specyalnie polskiego*, gdyż robotników rolnych *polskich* jest u nas co najmniej dwa razy tyle, niż polscy rolnicy w najlepszym razie zatrudnić by ich mogli. Ogromna większość polskich robotników rolnych pracuje przecież po wielkich dominiach, będących własnością *Niemców*, czyli w rolnictwie *niemieckiem* naszych dzielnic.

Gdy zaś Niemcy najmniejszego względu na nas nie biorą, z jakiej racyi my mamy brać wzgląd na nich? Wszyscy bowiem niemal ziemianie niemieccy u nas należą do hakaty, wspierają jej dążności, a conajmniej życzliwie je tolerują. Należałoby więc z tego wyprowadzić tylko odpowiednie konsekwencye, a *polskiemu rolnictwu nie brakło by sił do pracy i bez troski mogłoby spoglądać w przyszłość.*

Ale wyprowadzenie tych konsekwencyi należy wyłącznie, a przynajmniej w głównej mierze do robotników samych; społeczeństwo nasze może na to oddziaływać tylko pośrednio, przez pouczania robotników, rozbudzanie w nich poczucia obowiązku narodowego, *troskliwą pieczę o jego dobro.*

Robotnik Polak powinien wiedzieć o tem, że jest również członkiem polskiego społeczeństwa, polskim obywatelem, że przeto obowiązkiem jego jest również dbać o dobro tegoż społeczeństwa polskiego ogółu. Jeżli więc dobro to jest zagrożone, powinien starać się zaradzić temu, a przynajmniej dopomódz do usunięcia grożącego mu niebezpieczeństwa. Tego można żądać od niego, jako od obywatela, ale żądać tylko o tyle, o ile nie naraża go to na zbyt wielką ofiarę z własnego dobra. Bo robotnik rolny, jako najuboższy może ze wszystkich, wielkich ofiar dla ogółu ponosić nie może. Rozporządza on właściwie tylko jednym czynnikiem, jedną siłą społeczno-ekonomiczną, a tą jest jego praca. Tą siłą powinien służyć przedewszystkiem własnemu społeczeństwu, popierać jego dobro, jeżli tylko społeczeństwo może mu za nią płacić tyle, ile mu się *słusznie w danych warunkach należy.*

Pomyślmy tylko, jak spokojnymi o jutro mogli by być ziemianie nasi i nasi gospodarze mniejsi, gdyby ogół polskich robotników rolnych poczuwał się do tego obowiązku swego i sumiennie go wypełniał. Nie byłoby już wówczas w gospodarstwach polskich braku rąk do pracy, bo wypełniłby go nawet ponad potrzebę robotnik polski, wysługujący się dotychczas *obcym*. Minęły już te czasy, w których panowało mniemanie, że niemieccy „panowie“ lepiej się obchodzą z polskim robotnikiem, niż panowie polscy, że bardziej troszczą się o jego dobro, że lepiej mu płacą. Jeźli było tak kiedykolwiek, to dziś należy to już do rzędu legend. *Ziemianie polscy dbają dziś tak samo o dobro swych robotników, a nawet lepiej, niż Niemcy, i tak samo go za jego pracę wynagradzają.* Że mimo to krocie robotnika polskiego sprzedają jeszcze swą pracę Niemcom, to dzieje się to po części z braku takiej liczby polskich majątków, któraby mogła pomieścić ich wszystkich, po części z tej przyczyny, że nie wiedzą oni często, iż w polskich majątkach tak samo korzystną mogliby znaleźć pracę, z *nawyknienia, przywiązania do miejsca*, w którem wiedzie im się jako tako, no i z nieświadomości obowiązku społeczno narodowego, który i robotnikowi nakazuje, tak pokierować własną egzystencyą, *ażeby i ogół miał z niej pożytek.*

Rozbudzanie tego obowiązku powinno być *zadaniem wszystkich, którzy się z ludem stykają*. Wszyscy oni powinni oświecać go i pouczać, że *jako Polak przedewszystkiem Polakom — braciom swoim służyć winien swą pracą.* Pominąwszy już innych, mogą w tym kierunku dużo zdziałać polscy *kupcy* i *przemysłowcy* w mniejszych miastach i osadach.

My bezpośrednio zwrócić się możemy do tych tylko robotników światlejszych, którzy czytają gazety. Tu też przypominamy ten ważny ich obowiązek — niech ze swej strony pouczają innych. Brak rąk do pracy może wytrącić z rąk naszych niejeden jeszcze szmat ziemi, niechże więc robotnicy nasi na to nie pozwolą. Niechże uprzytomnią sobie niedolę swej dziatwy, niebezpieczeństwo, grożące im pod obcymi panami pod względem narodowym i religijnym, krzywdy, jakie dzieją się ludowi polskiemu na *każdym* kroku i niech stosują się do tego.

Niechże wiedzą o tem, że Niemcy zatrudniają ich *chwilowo* tylko *z musu*, dla braku innych rąk do pracy, lecz że bezustannie myślą nad tem, w jakiby sposób zastąpić by można polskiego robotnika innym. Hakata proponowała już niejednokrotnie sprowadzanie robotników z prowincyi *nadbałtyckich, z Włoch, ze Szwecyi nawet z Chin.* Wynika z tego jasno, że ty, biedny robotniku polski, jesteś w dobrach niemieckich tylko cierpianym do czasu, że gdy się inny znajdzie, dogodniejszy Niemcom pod względem narodowym, wyrzucą ciebie bez względu na to, czy z głodu umrzeć ci przyjdzie, lub nie. Toć Polacy oddawna już im zawadzają. A cóż poczniesz wtedy, gdy nie będzie już polskich majątków i gospodarstw, gdy u swego nie znajdziesz chleba? We własnym swym interesie przeto starać się powinieneś o to, ażeby jaknajwięcej ziemi polskiej pozostało w polskiem ręku, abyś zawsze miał punkt oparcia u swoich. Wówczas jeszcze, gdy dzięki oszczędności dorobisz się kilku groszy, sam kawałek ziemi będziesz mógł nabyć. Ale nie dostaniesz jej, gdy *Komisya kolonizacyjna* i *różne „landbanki“* wszystko posiędą, bo te nie sprzedają ziemi polskim chłopom.

Wówczas przez wszystkie wieki pozostaniesz niewolnikiem niemieckich panów bez możności dorobku — i skazany będziesz na ich łaskę, *wówczas też natarczywiej jeszcze niż dzisiaj żądać będą od ciebie, ażebyś dla kawałka chleba wyparł się narodowości i języka, tego języka, w którym matka śpiewała ci nad kołyską, w którym uczyła cię pierwszej modlitwy!*

Interes twój jest zupełnie równoległy z interesem polskiego ziemianina i gospodarza — z interesem całego społeczeństwa. A zatem, gdzie tylko warunki płacy w przybliżeniu choć równe są u Niemca i u Polaka, powinieneś dawać pierwszeństwo Polakowi i u niego brać robotę. Nakazuje ci to obowiązek narodowy, sumienie i własne dobro, wzgląd na dobro twoich dzieci. A gdy tak postępować będziesz, nie bój się, iżby ci krzywda stać się mogła u rodaka. *Całe bowiem społeczeństwo polskie, wdzięczne za twój patryotyzm otaczać cię będzie opieką, piętnować wyzyskiwaczy i żądać, by się z tobą jaknajlepiej obchodzono, jako z prawym, równouprawnionym synem matki ojczyzny. I wszystkim nam lepiej z tem będzie, a przyszłe pokolenia błogosławić cię za to będą.*

Robotnicy polscy! Dużo majątków polskich, tysiące mórg polskiej ziemi zagrożone są z powodu braku rąk do pracy. Czyż pozwolicie na ich utratę? Nie pozwólcie! Gdzie tylko możliwa szukajcie pracy w *polskich* gospodarstwach, pamiętajcie o tem, że bliższa koszula ciała niż surdut. To wasz obowiązek! *Ratujcież* i wy również ziemię polską! Bóg wam poszczęści za

to, a naród otoczy większą jeszcze miłością. Uniknięcie też przez to pogwałcenia *sumienia waszego*, jakie wam grozi w wielu obcych majątkach. Robotnicy polscy! pamiętajcie o tem, że i wy jesteście *obywatelami polskimi!!*

Czujny.

Pod strażą zasady Monroego.

Przed dwoma mniejwięcej miesiągami wypowiedział prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej na pewnem zebraniu mowę, w której z naciskiem zaznaczył, że rząd wielkiego państwa tego musi dziś baczniej niż kiedykolwiek stać na straży doktryny czyli *zasady Monroego*. Zasada ta opiewa jak wiadomo: „Ameryka dla Amerykanów“ — czyli innemi słowy: żadne poza amerykańskie państwo nie ma prawa nabywać ziemi w Ameryce, zakładać tam *nowych* kolonii. Nikt nie myśli bronić — mówił minister jakby dla objaśnienia tej zasady — wychodźcom z innych części świata osiedlać się w któremkolwiek państwie Ameryki; pod żadnym atoli warunkiem Stany Zjednoczone nie dopuszczą, aby obce państwa zagarnęły choćby piędź amerykańskiej ziemi!

Mowa ta wywołała w Europie niemałe wrażenie. Gdy bowiem głowa potężnego państwa występuje z takiem oświadczeniem, to nie może to być przypadkowym frazesem, lecz musi mieć swą przyczynę i to ważną przyczynę. Zaraz też zaczęła prasa europejska dociekać, przeciwko któremu państwu zwraca się to oświadczenie prezydenta? No i wszystkie niemal dzienniki doszły do przekonania, że Roosewelt mógł mieć na myśli jedynie *Niemcy*. O słuszności przypuszczenia tego świadczą zaś chociażby tylko.... złość, z jaką o tej mowie piszą niemieckie gazety hakatystyczne, mianowicie „wszechniemieckie.“

I rzeczywiście tylko o Niemcy chodzić tu może. Anglia posiada w Ameryce jeszcze olbrzymie kraje, a zagarnąwszy teraz po wojnie z Burami dwie wielkie południowo-afrykańskie republiki — ma na długi przeciąg czasu aż nadto miejsca do upustu zbytniej swej ludności, więc o nowych zdobyczach w Ameryce wcale nie marzy. Francya również nie ma potrzeby wyciągać rąk po nowe posiadłości, gdyż ludność jej prawie wcale się nie mnoży, a emigracya wskutek tego prawie zupełnie ustała. Włochy mają zwrócone oczy na Tripolis i Albanią, oprócz tego dość kłopotu z swojąErytreją, iżby jeszcze i za Atlantykiem szukać chciały guzów. Hiszpania — to już tylko ruina państwowa, Austrya wogóle w politykę kolonialną się nie bawi, *Rosya* przed pół wiekiem dobrowolnie oddała Stanom Zjednoczonym swą amerykańską posiadłość Aliaszkę; ma zresztą całą północną Azyę, a na oku Chiny. Reszta zaś państw Europy — z wyjątkiem Niemiec — to drobiazg, który w sprawie tej wcale nie wchodzi w rachubę. Pozostają więc jedynie Niemcy, i do nich też tylko mogła się odnosić owa przestroga Roosewelta.

Ludność Niemiec mnoży się ogromnie szybko i w złych latach w kraju wyżywić się nie może. Ponieważ zaś obecnie zanosi się, jak się zdaje, na cały szereg złych lat, więc prawdopodobnie emigracya z Niemiec znacznie wzrośnie. Nadto chodzi przemysłowi niemieckiemu bardzo o nowe pola zbytu i to takie, na których nie byłby krępowany *obcą konkurencją* i *obcemi cłami*. Kolonie, które Niemcy obecnie posiadają nie nadają się do europejskiej kolonizacyi, są bowiem położone przeważnie w strefie gorącej. I przemysł niemiecki nie ma z nich korzyści, gdyż dzika ich ludność nie wiele jeszcze potrzebuje europejskich wyrobów. Z konieczności więc rozglądać się muszą za krajami, gdzieby Niemiec swobodnie osiedlać się mógł na roli i tam dalej konsumować niemieckie wyroby.

Nie od dziś też marzą Niemcy o takim zaborze i to właśnie w *Ameryce*. A celem ich marzeń są *południowe prowincye Brazylii:* Rio Grand do Sul, Sta Catarina, Parana, Sao Paolo, jakby stworzone do takiej kolonizacyi, bo położone w południowej strefie umiarkowanej. Brazylia jest zaś państwem w porównaniu do Niemiec bardzo słabem i w danej chwili, ani by mogła przeszkodzić zaborowi.

Niemcy są narodem bardzo zabiegliwym i zwykle myślą nawet o dalekiej przyszłości. Więc chociaż wówczas jeszcze nie tworzyli państwa jednolitego i o zagarnięciu zamorskich krajów ani myśleć nie mogli, już przed pół wiekiem rozpoczęli kierować upływ swej ludności do tych prowincyi brazylijskich i dziś tworzą tam już znaczną część ludności. Od pewnego zaś czasu prasa wszechniemiecka co chwila podsuwa rządowi myśl, ażeby osiadłych tam Niemców *„oswobodził“* z pod panowania Brazylijczyków i przyłączył do Niemiec.

Rząd przez długie lata zachowywał się w tej sprawie bardzo obojętnie, przynajmniej na pozór. Obecnie jednakże — pod presyą tej „wszechniemieckiej“ opinii, dążąc nadto do rozszerzenia swej władzy na wszystkie części świata, a przynajmniej do „admiralstwa na Atlantyku“ — wreszcie w przewidywaniu owych lat złych, widocznie po cichu przygotowuje się do takiego kroku i widocznie ciche te przygotowania doszły do wiadomości rządu amerykańskiego, skoro prezydent Roosewelt uznał za potrzebne naprzód już założyć przeciwko zamiarom tym tak stanowcze *veto*.

Pytanie teraz, czy Niemcy zdołaliby przeprowadzić te zamiary wbrew woli Ameryki północnej? Na to pytanie tylko przecząco odpowiedzieć można. Stany Zjednoczone Ameryki północnej są kolosem, który i Niemcom śmiało stawić może czoło. Wojna z tym kolosem byłaby tak niebezpieczną, iż najśmielsi nawet niemieccy mężowie stanu nie zechcą kraju swego na nią narazić. Zdaje się też, że podróż księcia Henryka do Ameryki miała na celu pozyskanie opinii amerykańskiej i nakłonienie decydujących sfer tamtejszych, aby przymrużyły oko, gdy Niemcy wyciągną ręce po owe obszary. Ale właśnie ta stanowcza mowa prezydenta Roosewelta dowodzi, iż podróż księcia celu tego nie dopięła, że mimo „serdecznych stosunków“ — Ameryka do zaboru tych ziem przez Niemcy nie dopuści.

Otóż sprawa ta *ma i dla nas wielkie znaczenie*. Przecież w tych prowincyach brazylijskich istnieją także *liczne polskie kolonie*, które rozwijają się coraz pomyślniej, a którym wobec słabości państwa brazylijskiego nie grozi wynarodowienie. Jeźli też gdzie, to tam powstać może „Nowa Polska“ zamorska. Strach tedy pomyśleć, coby się stało z temi koloniami, jakiby byłby ich los, gdyby dostały się pod panowanie niemieckie!....

Więc ta mowa Roosewelta ma i dla nas wielkie znaczenie. Ponieważ Ameryka nie rzuca słów na wiatr, możemy być teraz spokojni o braci naszych w tych stronach. Ojcowie nasi nie przypuszczali zapewne, gdy prezydent Monroe przed laty postawił tę zasadę, że i nam się przyda. Tymczasem dziś dla kilkuset tysięcy braci naszych stała się ona naprawdę tarczą przed nową niewolą.

Ordon.

Z TYGODNIA.

Szydzą *Niemcy* z parlamentu austryackiego, że jest niezdolny do pracy, że bezustannie zachodzą w nim gwałtowne, karczemne nieraz awantury — a tu we własnym ich „Reichstagu“ zanosi się na seryo na podobne zajścia, na taką samą bezproduktywność. Mają więc nowy dowód, jak to niedobrze cieszyć się z niedoli sąsiada. Od tygodnia już panuje w parlamencie berlińskim niebywałe w jego dziejach naprężenie. Sprawiła to nieszczęsna *nowa taryfa celna*. Przez pół roku już toczy się o nią walka zacięta między rządem, a większością konserwatywno - centrowo - agrarną, która, jak wiadomo, żąda ceł na zboże jeszcze wyższych, niż rząd proponował. Teraz zaś, gdy nareszcie zanosi się na to, iż sztuce dyplomatycznej hr. *Bülowa* powiedzie się skruszyć upór tej większości i skłonić ją do przyjęcia propozycyi rządu zjawiła się nagle na widowni *obstrukcya wolnomyślnych i socyalnych demokratów*. O ile bowiem konserwatystom i agraryuszom

wydawały się proponowane przez rząd cła pięciomarkowe za zbyt niskie, o tyle znów socyalistom i wolnomyślnym wydają się za *wysokie*.

Od samego też początku występowali stanowczo z tego powodu przeciwko całej taryfie, dopóki atoli przypuszczać było można, że taryfa i tak upadnie z powodu opozycyi zwolenników ceł *wysokich*, przeciwnicy taryfy po lewej stronie nie stawiali sprawy na ostrzu miecza. Skoro atoli zarysowała się możliwość zgody między rządem a większością, zaraz skoczyli rządowi do oczu. „*Nie chcemy wogóle podwyższenia ceł na 5 mrk.* — wołają — i *nie dopuścimy do uchwalenia taryfy!*“ Od tygodnia też już przeszło starają się przeszkodzić dalszym obradom wszelkiemi sposobami. Jedni prawią kilkogodzinne mowy, drudzy znów stawiają najrozmaitsze wnioski o niemożliwe nieraz poprawki, a gdy i to nie skutkuje, żądają imiennego głosowania nad każdą najdrobniejszą pozycyą. To zaś zabiera tyle czasu, że gdyby za każdym razem żądanie to spełnić miano, obrady nad taryfą za sto lat by się nie skończyły.

Nic więc dziwnego, że zwolennicy ceł wyższych pienią się ze złości; lecz cóż, regulamin Izby pozwala na takie wnioski. Aby tedy ukrócić tę obstrukcyą stawił poseł *Aichbichler* wniosek o zmianę regulaminu w ten sposób, że odtąd imienne głosowanie ma się odbywać *kartkami*, podczas gdy obrady toczyć się będą dalej. Wniosek ten dolał atoli oliwy od ognia. „Prawica — brzmi okrzyk wśród wolnomyślnych i socyalistów — zamierza zamknąć nam usta — lecz nie dopuścimy do tego.“ W chwili gdy to piszemy, spór nie jest jeszcze rozstrzygnięty, obie strony stoją przeciwko sobie w pełnej zbroi. Niema jednakże nadziei, że zwolennicy, ceł przeprowadzić zdołają wniosek Aichbichlera. Ale wzajemne rozgoryczenie dosięgło już szczytu. Na wszelkie zaklęcia z ław rządowych, aby nie zaprzepaszczano taryfy, lewica odpowiada coraz to dłuższemi mowami, coraz nowemi wnioskami.

Nie pomogło, że hr. Bülow w rozmowie z pewnym posłem gorzko się żalił na obstrukcyą, że nazwał ją „*największem złem parlamentów*, które gdy raz się do którego z nich przyczepi, już nie da się usunąć nigdy;“ nie pomogło, że nawet przestrzegał wolnomyślnych i socyalistów, aby nie posuwali się za daleko, „*bo sami mogą podciąć gałąź, na której siedzą.*“ I ta tajemnicza przestroga na nic się nie zdała, obstrukcya nie ustaje. A tymczasem strony przeciwne walczą z sobą już na „*sposo... ...ński.*“ Na jednem z ostatnich posiedzeń padały już brzydkie słowa i wyzwiska, bito już nawet w pulpity, krzyczano i wymyślano sobie nawzajem w nieparlamentarny sposób. Weterani parlamentu drżą o jego dobrą sławę — a niestety nikt nie może przewidzieć, jak się to skończy. Może, gdy numer ten dojdzie do rąk Czytelników, już sprawa będzie rozstrzygniętą, chwilowo atoli sprawa taryfowa przedstawia się jako znak zapytania.

W tym sporze *Koło polskie* bardzo rozsądne zajęło stanowisko. Oświadczyło się wprawdzie za wyższemi cłami, lecz stanowczo zwraca się przeciwko wnioskowi Aichbichlera. I słusznie zupełnie, bo gdyby raz ukrócono wolność słowa w ten sposób, nieraz by potem i Polakom zamknięto usta podobną bronią.

Podczas gdy to się działo w parlamencie, cesarz *Wilhelm* bawił w *Anglii*. I ta podróż monarsza wzbudziła żywe zajęcie w szerokich kołach. Prasa niemiecka stara się wprawdzie wmówić w czytelników swoich, że wyjazd cesarza do Anglii miał tylko charakter prywatnych, familijnych odwiedzin; cóż dziwnego, piszą: że siostrzeniec odwiedza wuja, który co dopiero powstał z ciężkiej choroby? Ale prasa innych narodów nie wierzy tym zapewnieniom. Przeciwnie, twierdzą ogólnie, że podróż cesarza miała nawet *wielkie* znaczenie polityczne, że celem jej było naprawienie stosunków między obu państwami, które, w ostatnich latach bardzo się popsuły. Cesarz Wilhelm liczył przytem na osobiste swe wpływy, na popularność, jaką cieszył się w Anglii dawniej. Tymczasem wątpić można, czy ten cel podróży zostanie osiągnięty. Prasa angielska powitała monarchę Niemiec bardzo chłodno, niektóre dzienniki zajęły względem podróży jego wręcz wrogie stanowisko.

„Niemcy — pisze kilka dzienników — pragnęłyby nas pozyskać znów przeciwko *Rosyi*. Lecz nic z tego! Niech sobie sami swe kasztany wyciągną z ognia! My z Rosyą ułożyć się musimy na własną rękę, Niemcom wara do tego.“ Takie głosy nie wróżą chyba dobrze o przyszłych stosunkach między Anglią a Niemcami.

Na domiar złego były poseł angielski w Wiedniu *Rumbold* ogłosił artykuł, w którym wykazuje, że Niemcy podczas wojny z Burami zamierzały wyzyskać kłopoty Anglii na swą korzyść, i że jedynie Austryi zawdzięczać należy, że się to nie stało. Tak więc nic się pewnie nie zmieni przez tę podróż — i *Niemcy* nadal obywać się będą musiały bez — *przyjaźni Anglików.*

W *Austryi* zanosi się na groźne przesilenie. Walna debata w sprawie ugody czesko niemieckiej minęła wprawdzie spokojniej, niż przypuszczano, ale wykazała, że o przeprowadzeniu ugody za pośrednictwem parlamentu nie może być mowy. Ponieważ zaś stawiono już z różnych stron mnóstwo naglących wniosków, nie można też pomyśleć o załatwieniu innych ważnych spraw państwowych. A tu rząd sam podkopał do reszty swą pozycyą. Niespodziewanie bowiem zauważył, że *armia* austryacka jest za słaba, że pozostała w tyle za innemi armiami; przedłożył więc parlamentowi projekt pomnożenia jej o 30,000 rekrutów rocznie czyli razem o *80,000* głów. Żądanie to spadło na wszystkie stronnictwa jak piorun z jasnego nieba.. Na co i po co tyle wojska? pytają wszyscy. A na to pytanie nie ma innej odpowiedzi, jak tylko, że wymaga tego — *trójprzymierze*, wymagają Niemcy! Taką oto korzyść ma Austrya z tego sojuszu! Nic więc dziwnego, że wszystkie stronnictwa zarówno w *Austryi*, jak i na *Węgrzech* buntują się przeciwko nowemu temu ciężarowi. Na razie niema najmniejszej nadziei, iżby projekt rządowy znalazł większość. Natomiast już dziś wiadomo, że zachwieje on obu rządami że może zarówno gabinet austryacki jak i węgierski padną ofiarą wywołanego nim wzburzenia. Dr. Koeber pragnie jeszcze ocalić swe rządy. Jak zwykle w takich razach, udał się znów z pokorą do *Koła polskiego*. „Pomóżcie mi bracia Polacy“ — woła. Lecz i w Kole polskiem nie ma już ochoty do ponoszenia coraz to nowych ciężarów dla państwa, które po macoszemu traktuje Galicya. I tu więc sytuacya jest tak niepewna, że nikt przewidzieć nie może, co się jutro stanie.

W *Ameryce północnej*, w *Stanach Zjednoczonych* odbyły się wybory do *kongresu*. Wybory te wykazały, jak bezdennie głęboko tkwi społeczeństwo tamtejsze w bagnie kapitalistycznem, jak cierpliwie znosi pęta, nakładanego na nie przez miliarderów. Mimo bowiem ostatniego strejku węglowego i strasznej nędzy, jaką strejk ten sprowadził na kraj z winy kilku bogaczów, — zwyciężyło znów przy wyborach stronnictwo *republikańskie*, a więc stronnictwo, które wysługuje się potentatom z łaski złota. A no — jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Wracając do naszych *spraw polskich* w zaborze pruskim, zanotować winniśmy objaw bardzo pomyślny. Otóż Koło nasze parlamentarne zamie-

rza wytoczyć *kilka krzywd naszych w parlamencie* i przez posła *Głębockiego* zbiera materyał do odnośnych interpelacyi. Wzywa więc publiczność aby dostarczono mu jasnych i ścisłych dowodów: (a) w sprawie bojkotu wojskowego wobec polskich kupców i rzemieślników, (b) w sprawie odbierania uprawnienia do jednorocznej służby, (c) w sprawie traktowania więzionych redaktorów polskich jak zwykłych zbrodniarzy, (d) w sprawie przeinaczania polskich imion i nazwisk w urzędach stanu cywilnego.

Koło oszczędziłoby sobie takich trudów, gdyby popierało myśl naszą założenia „biura obrony prawnej" ale i tak powitać należy krok ten z radością. Wiemy teraz, że krzywdy nasze nie pozostaną — niepomszczone. Dzięki za to posłom naszym!

K. O.

Przegląd prasy.

Oszczercza napaść *„Gońca Wielkopolskiego"* na „Pracę" i jej wydawcę wywołuje coraz większy niesmak w całej naszej prasie. Nawet pisma nam zresztą nieżyczliwe zamieściły chętnie zaprzeczenie wydawcy „Pracy" podczas gdy coraz wścieklejsze ataki „Gońca" zbywają pogardliwem milczeniem. Dziwić się więc nie można, że zawiedziony w swych nadziejach „Goniec" stracił do reszty równowagę i że podobną jak na nas kalumnię rzucił na *całą prasę polską w zaborze pruskim* — siebie naturalnie wyjmując. Uderzyło to ogólnie i w połączeniu z innemi dziwnemi manewrami tego pisma, ściągnęło na niego nietylko słuszne gromy oburzenia, ale nawet rozmaite podejrzenia. I tak „Postęp" pisze:

„Takie posądzenie prasy pod zaborem pruskim jest bardzo ciężkie, gdyż żadna gazeta polska nie stoi na usługach rządu rosyjskiego, bo nie ma do tego najmniejszego powodu. Lecz *żydków warszawskich* gniewa to szalenie, że tutejsze dzienniki nie ujadają ustawicznie na Rosyą. Dlatego żydki podsuwają zaraz, *że to ruble rosyjskie działają*. Wywołują oni sztuczny antagonizm, a *mając takiego „Gońca W." w odwodzie*, zamieszczają tam swoje elaboraty. Artykułów w tej kwestyi się pojawiających w „Gońcu" nie potrzebowali wcale żydki napisać, znajdują sobie oni już ludzi odpowiednich ku temu z pośród Polaków."

Daleko ostrzej jeszcze zbija oszczerstwo „Gońca" *„Gazeta Toruńska."* Orga[illegible] „Gońcowi" niegodziwą *denuncyacyą*, przypomina dziwne jego zachowanie się po procesie wrzesińskim, poczem pisze:

„Wystąpienie „Gońca Wielkop." z denuncyacyą przeciw pismom polskim i całemu społeczeństwu, oznacza nową taktykę. Nie pomogły denuncyacye przed rządem rosyjskim — tak sobie wyspekulowali — może pomogą przed rządem niemieckim. Nie zdały się na nic artykuły prowokujące rząd rosyjski, bo Rosya nie chciała uwierzyć w knowania Polaków w Kongresówce, to poskutkuje może denuncyacya Polaków pruskich i prasy polskiej.

„Pismo polskie, dawniejsza własność nieodżałowanej pamięci *Niegolewskiego i dr. Rzepeckiego*, mężów najwybitniejszych, jakich społeczeństwo nasze posiadało, *umieściło ową ohydną denuncyacyę.*

„Sąd o „Gońcu Wielkopolskim" pozostawiamy opinii polskiej. Zaznaczamy tylko to, że nawet najzjadliwsze pisma polakożercze zbyły denuncyacyę „Gońca" wzgardliwem milczeniem, wstydząc się zapewne potwornego kłamstwa; *tylko „Goniec Wielkopolski" zdobył się na czyn tak marny!*

„Ponieważ i my należymy do pism polskich pod zaborem pruskim a więc i nam zarzucił „Goniec Wielkopolski", że stoimy na usługach rządu rosyjskiego, przeto wzywamy go, aby twierdzenie to natychmiast udowodnił."

„Goniec" naturalnie nie udowodnił oszczerstw swoich, wobec czego „Gazeta Toruńska" w następnym numerze jeszcze taką o nim wypowiedziała *„uwagę:"*

„Artykuł „Gońca" ma wszystkie znamiona *denuncyacyi*, zawierającej świadome oszczerstwo, które rzucił na naszą prasę polską."

Nadto stwierdza „Gazeta Toruńska," *inną denuncyacyę* ze strony *„Gońca Wielkopolskiego."*

Przyśniło się lwowskiemu „Słowu Polskiemu," że są obywatele w Poznańskiem, którzy *należą* do rosyjskiego towarzystwa Dobroczynności i zamierzają brać udział w wszechsłowiańskiej wystawie w Petersburgu. Podczas gdy „Słowo Polskie" podało tę wiadomość w formie „pogłoski" tymczasem „Goniec" nie miał nic pilniejszego jak powtórzyć to jako fakt.

„Goniec" wie równie dobrze jak wszyscy, że nikt z Poznańskiego nie zamierza brać udziału w tejże wystawie; ale — denuncyuje! Denuncyuje *„Pracę,"* denuncyuje całą prasę pod pruskim zaborem, wreszcie obywatelstwo tutejsze.

Zdaje się to być głównem zadaniem pisma z Grobli, któremu życzymy, aby ziemia zapomnienia lekką mu była.

Zbliżające się *wybory do rady miejskiej w Poznaniu* zajmują żywo obywatelstwo [illegible]. „Wielkopolanin" poświęca im obszerny, informacyjny artykuł i podnosi z uznaniem, że w okręgu Stary Rynek 70 z niezapisanych w komisyi podatkowej obywateli wniosło o zapisanie ich do podatku dochodowego i odpowiedniego podatku komunalnego, by pozyskać prawo głosowania i tym sposobem pośrednio wpłynąć na bieg spraw miejskich.

Głosy, jakie się odzywały przeciwko germanizacyi przez księży na Ślązku z kół duchowieństwa tamtejszego, wywołały głośny odźwięk w prasie, nie tylko w naszej polskiej, ale także w *niemieckiej*. Okazało się przytem ponownie, że niektóre organa niemiecko-katolickie owiane są duchem na wskroś hakatystycznym. Do nich należy przed innemi *„Germania."* Zamiast stanowczo potępić nadużywanie Kościoła i religii do germanizacyi, zbywa to ogólnikami, a złość swoją z powodu ostatnich głosów wylewa na rzekomy „radykalizm polski," który „niepowściągliwą manię krytyki" stosuje także do księży. Na to odpowiada jej *„Dziennik Poznański:"*

„Dawniej prasa centrowa apelowała o poskromienie radykalnych zapatrywań do umiarkowanej prasy polskiej. Wdzięczni jesteśmy jej za to, że od tej metody odstąpiła, bo my w tym kierunku nikogo poskramiać ani uspakajać nie możemy, co tylokrotnie oświadczyliśmy. *Gdzie się krzywda dzieje, tam nie można zmuszać pokrzywdzonych, żeby za krzywdy jeszcze dziękowali*".

„Kuryer Poznański" w artykule, nadesłanym z miasta potępia ostro germanizacyą przez księży, ale ostrzega, aby nie zwalano za nią winy na *Kościół*, bo Kościół również zwalcza nadużywanie religii do celów politycznych. W końcu pisze:

„Nie o germanizacyi przez kościół, ale o germanizacyi przeciw kościołowi mówić winniśmy. Głos Kościoła to głos Papieża, który mówi *„idźcie w lud"*, pracujcie z nim, cierpcie i walczcie z nim. Germanizacyi *przez Kościół* nie ma i nie będzie.

„Kościół zawsze broni słabszych i uciśnionych, a jeżeli kapłan, powołany do strzeżenia sprawy Bożej, strzeże jej źle, i uniesiony przez politykę występuje wrogo przeciw katolickim czynnikom w swoim ludzie, to jednak nie uprawnia to do przypisywania winy idei katolickiej, do zrzucania odpowiedzialności na świętą naszą matkę, na Kościół. Tych kapłanów Bóg będzie sądził. My Polacy czyńmy co należy, pracujmy dla sprawy, nie dajmy się germanizować, ale w goryczy naszej nie posuwajmy się do wyrażeń, które, gdyby się utarły, byłyby już hasłem.

„Na znakomicie trafny i zdrowy grunt stawiają kwestyę broszury i głosy kapłanów polskich na Śląsku. W głosach tych widać prawdziwe zrozumienie sprawy.“

Co do nas, to mamy nadzieję, że głosy te rozbudzą silny opór przeciwko tego rodzaju germanizacyi także wśród duchowieństwa śląskiego, że większość księży szczerze im przyklaśnie i przez to zmusi do milczenia tych, którzy zapominają jeszcze o swem posłannictwie kapłańskiem.

Niestety, źle się dzieje nie tylko na Śląsku, ale i w *Prusach zachodnich.* Tam wielką boleść wśród polskich wiernych, a oburzenie w prasie polskiej wywołało to, że Np. ks. Biskup Rosentreter pozwala podczas wizytacyi swych po parafjach, nauczycielom egzaminować dziatwę polską w *kościołach* z religii po *niemiecku.* „*Pielgrzym*“ tłomaczy to tak:

„Biskupi pozwalają nauczycielom wypytywać dzieci polskie katechizmu po niemiecku i czasem sami stawiają pytania po niemiecku, aby się przekonać, czy dzieci polskie rozumieją to, co po niemiecku z katechizmu odpowiadają, i aby zebrać materyał do przedłożenia rządowi, który poświadczy, że uczenie dzieci polskich katechizmu w języku niemieckim chybia celu.“

„*Gazeta Toruńska*“ natomiast nie godzi się na to. W polemice z „*Pielgrzymem*“ pisze:

„Czemże tedy jest i na co schodzi to egzaminowanie niemieckie na wizytacyach? Czy może nie na rozszerzanie niemczyzny poza szkołą? Dotychczas mogli nauczyciele uczyć tylko w szkole po niemiecku, teraz odbierają pozwolenie na to i w kościele. Księża germanizujący w kościele, przechwalający się z tego w „Germanii“ i z pochwał odebranych za to od protestanckich urzędników, nie doczekali się ani zakazu, owszem, teraz patrząc na to, co się dzieje w dyecezyi, powiedzą sobie, że działają poprawnie, idąc za przykładem wyższych. Na dobitkę tego dzieci nasze w przeważnej części nie umiejące przy rozpoczęciu chodzenia do szkoły ani słowa niemieckiego i nie rozumiejące zrazu ani katechizmu, ani innej nauki, służą za wzór, by pokazać, do jakiego stopnia znajomości prawd wiary doprowadzone być mogą za pomocą obcego, a z wykluczeniem ojczystego języka.“

Przykry to temat dla pisma katolickiego — lecz niestety, prasa polska nie może milczeć w takich razach, gdyż chodzi tu o święte prawo polskiego ludu — a także o stosunek jego do Kościoła. Oby to i władza duchowna uznać zechciała!

Jak zresztą władze pruskie — żądając formalnie wysługiwania się celom germanizacyjnym od kapłanów, równocześnie traktują uczucie katolików, zarówno polskich jak i niemieckich, na to nowy dowód przytacza: „*Gazeta Grudziądzka.*“ Powtarza ona z „*Kreisblattu*“ powiatu świeckiego, a więc z organu, który i katolicy czytywać *muszą,* ustęp obrażający Kościół katolicki i pisze słusznie co następuje:

„Znamy już naprzód wyjaśnienia, jakie ministrowie będą mieli w pogotowiu na „wytłomaczenie“ tego zajścia: „że to p. landrat świecki nie winien temu i że wiedzieć nie może naprzód, co tam w nieurzędowej części krajsblatu napiszą.“

„Bardzo to wszystko ładne. Nie winimy tutaj bynajmniej p. landrata świeckiego, bo spodziewamy się, że i on potępia tę bezczelną napaść na Kościół katolicki w „krajsblacie.“ Temu jednak nikt nie zaprzeczy, że wydawca krajsblatu nigdy nie odważyłby się pozwolić na umieszczanie takich bezczelności w nieurzędowej części urzędowego krajsblatu, *gdyby mu raz na zawsze stanowczo zakazano wszelkich napaści na katolików.*

„Ale na taki pomysł nikt widocznie nie wpadł, bo ludność katolicka jest potulna i znosi wszystko cierpliwie.

„Hola, tak dalej nie idzie! Posłowie nasi muszą przy najbliższej sposobności w tej sprawie pomówić z p. ministrem Hammersteinem, a pomówić tak *wyraźnie,* żeby p. minister wiedział dokumentnie, że *tak dalej nie idzie.*“

Poruszona przez nas ponownie myśl utworzenia *biura obrony prawnej,* znalazła poklask serdeczny wśród publiczności naszej, mianowicie ze strony ludu, jakkolwiek i tym razem prasa nasza zbyła ją milczeniem. Z *Brus* w Prusach zachodnich piszą do „*Gazety Gdańskiej:*“

„Projekt utworzenia biura pomocy prawnej trzeba przedstawić ludowi na zebraniach, lud uzna go bezwątpienia wobec zaciekłości hakatystycznej *honorem narodowym za nakazany* oświadczy gotowość na członka i od, razu zamiast jednostek zyska się w tak nader krótkim czasie tysiące członków dla projektu i jego zrealizowania. Wszak pospiech nakazany wobec różnych odcieni hakatystów!

„*Pewności o życzliwości ludu dla biura pomocy prawnej nabrałem z dwóch posiedzeń dwóch towarzystw.* Po objaśnieniu projektu nie oświadczył się ani jeden przeciw utworzeniu biura, a wiadomość o projekcie takiem przyjęto niekłamanem zainteresowaniem i zapałem, z równym zapałem oświadczono się za składkami na tak potrzebny i w skutkach doniosły cel.

„Które z towarzystw pójdzie pierwsze torem Brus i Wiela ku zrealizowaniu tak niezbędnej instytucyi? Społeczeństwo wyczekuje z niecierpliwością dalszych oświadczeń.“

Czyż Księstwo pozwoli się zawstydzić *Prusom zachodnim?*

„*Dziennik Berliński*“ piętnuje w dłuższym artykule cały szereg ostatnich naszych *kolonizatorów,* oraz ich pośredników, poczem kończy artykuł swój następującą trafną uwagą:

„Gdyby prasa nasza mogła lub chciała (zależna tego często nie może, a niezależna tego często nie czyni) takie niegodne transakcye stawiać bez osłonek pod pręgierz, kto wie, czyby zbrodnia narodowa była śmiała tak często i tak zuchwale prowokować uczciwą opinią publiczną i przez najmitów swoich ubezwładniać jej stróżów.

„My się jednak w tym względzie ubezwładnić nie pozwolimy, tylko każdego sprzedawczyka, każdego ajenta i szachraja ziemią polską bezwzględnie powołamy przed forum opinii i pod jej pręgierzem go postawimy.“

Brawo! I my tak czynimy i czynić będziemy.

B. M.

Głosy od Przyjaciół.

Z prowincyi.

Z powodu artykułu Ordona „Caveant consules“ w ostatnim numerze „Pracy“ (na 2. XI. 02.) pozwalam sobie przypomnieć Szanownej Redakcyi, iż „Praca“ już w samem zaraniu swego obfitego w skutki żywota, i to *w numerze 5, 6, 8.* I. rocznika *z dnia 24. X. 1896 r.,* a więc już przed 6 laty, radziła to, do czego nas teraz Centrowcy zmuszają.

Na stronie 12-tej tego numeru daje „Praca“ informacye między innemi te:

Leszno
Zbąszyń } drukarnie z gazetami ludowemi.
Rogoźno

Cieszy mię to bardzo, iż ta myśl nareszcie teraz będzie może wykonaną. A czas też największy! Ale powtarzam, iż niemniejszą potrzebą naglącą są polskie gazety w *Lesznie* i w *Rogoźnie* (lub *Czarnkowie,* Pile). Możeby się znalazł jaki szlachetny mecenas — miłośnik opuszczonego na kresach ludu polskiego i udzielił funduszu na założenie tych drukarń. Kapitał ten stokrotne przyniesie odsetki w postaci wzmocnienia chwiejnych nasz i uobywatelnienia ludu. Tam na kresach faktycznie lud nasz tonie we fali germańskiej!

...wicz.



Dział illustrowany.

„Dziady" na scenie poznańskiej.

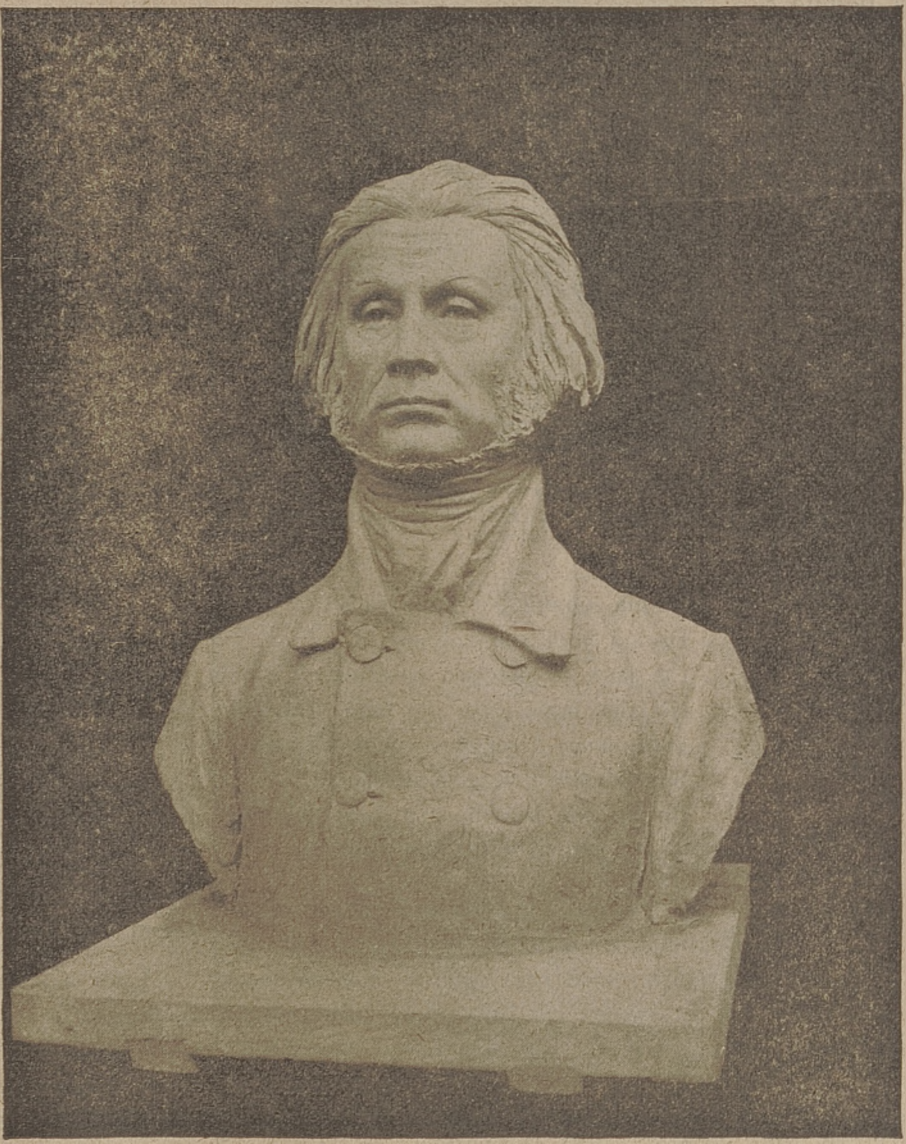
Teatr nasz święcił świeżo prawdziwy tryumf, wystawiając jedno z najlepszych arcydzieł największego poety, króla pieśni polskiej, naszego nieśmiertelnego wieszcza Adama Mickiewicza (ur. 24 grudnia 1798 r., um. 26 listopada 1855 r.) p. t. „Dziady" w układzie scenicznym autora „Wesela," St. Wyspiańskiego.

Ponieważ „Dziady" Mickiewicza są bez zaprzeczenia najwyższem arcydziełem pod względem wyrażenia uczucia i miłości dla nieszczęśliwego i gnębionego narodu naszego, więc nie będzie od rzeczy podanie Szanownym Czytelnikom, względnie przypomnienie im bardzo interesującej treści tego przepięknego dzieła dramatycznego.

„Dziady" — jak sam Mickiewicz pisze we wstępie jest to nazwisko uroczystości, obchodzonej jeszcze za jego czasów między ludem w wielu powiatach Litwy, na pamiątkę zmarłych dziadów czyli przodków, podobnie jak my dzisiaj obchodzimy „Dzień zaduszny" na tę samą pamiątkę. Dziady były zabytkiem z czasów pogańskich, więc duchowieństwo było tym obrzędom przeciwne. Dlatego lud „święcił Dziady tajemnie w kaplicach lub w pustych domach niedaleko cmentarza." Zastawiano tam pospolicie ucztę z rozmaitego jadła, trunków, owoców i wywoływano dusze nieboszczyków śpiewem, zaklęciem i rozmaitemi gusłami, zapytując ich, czego potrzebują, aby doznać ulgi i wybawienia z mąk czyścowych.

„Dziady" są napisane w 4-ch częściach dramatycznie, tj. tak jak się pisze sztuki dla teatru. W takim utworze dramatycznym przychodzi więcej osób, które do siebie przemawiają, wzajemnie sobie odpowiadają i t. p. Otóż podobnie jest i w „Dziadach."

Pomijając część I jako mniej ważną, opowiemy o części drugiej, opisującej nam wspomniane powyżej zaduszki litewskie. Występują tu następujące osoby: Guślarz, niby kapłan tej uroczystości, starzec spełniający jego rozkazy, chór wieśniaków i wieśniaczek, widma i duchy w postaci różnych ptaków. — To wszystko dzieje się wieczorem w kaplicy.



Adam Mickiewicz. (Podług rzeźby K. Laszczki).

Guślarz prowadzi zgromadzonych do kaplicy, nakazuje zupełną ciszę, każe pogasić światła; wszyscy stają dokoła trumny a on wywołuje pokutujące duchy następującemi słowy:

Czyścowe duszyczki!
W jakiejkolwiek świata stronie;
Czyli która w smole płonie,
Czyli marznie na dnie rzeczki,
Czyli dla dotkliwszej kary
W surowem wszczepiona drewnie,
Gdy ją w piecu gryzą żary,
I piszczy i płacze rzewnie:
Każda spieszcie do gromady!
Gromada niech się tu zbierze!
Oto obchodzimy Dziady!
Zstępujcie w święty przybytek;
Jest jałmużna, są pacierze
I jedzenie i napitek.

Potem odpowiada chór wieśniaków i wieśniaczek:

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie
Co to będzie, co to będzie?

Na wezwanie guślarza zjawia się pod sklepieniem kaplicy dwoje małych dzieci ze złocistemi skrzydełkami, więc guślarz się zapytuje:

„Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?
Czy prosisz o chwałę Boga?
Czyli o przysmak słodki?
Są tu pączki, ciasta, mleczko,
I owoce i jagódki.
Czego potrzebujesz duszeczko,
Żeby się dostać do nieba?"

Na to aniołki odpowiadają:

„Nic nam, nic nam nie potrzeba.
Zbytkiem słodyczy na ziemi

Jesteśmy nieszczęśliwemi.
Ach, ja w mojem życiu całem
Nic gorzkiego nie doznałem.
Pieszczoty, łakotki, swawole,
A co zrobię, wszystko caca.
Śpiewać, skakać, wybiedz w pole,
Urwać kwiatków dla Rozalki,
Oto była moja praca,
A jej praca stroić lalki.
Przylatujemy na Dziady,
Nie dla modłów i biesiady,
Niepotrzebna msza ofiarna,
Nie o pączki, mleczka, chrósty,
Prosim gorczycy dwa ziarna;
A to usługa tak marna
Stanie za wszystkie odpusty.
Bo słuchajcie i zważcie u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Chór powtarza sobie ostatnią przestrogę dzieci:

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto nie doznał goryczy ni razu,
Ten nie dozna słodyczy w niebie.

Guślarz spełnia prośbę dzieci, podaje im dwa ziarnka gorczycy mówiąc:

Aniołku, duszeczko!
Czego chciałeś, macie obie:
To ziarneczko, to ziarneczko;
Teraz z Bogiem idźcie sobie.
A kto prośby nie posłucha
W imię Ojca, Syna Ducha,
Widzicie Pański krzyż?
Nie chcecie jadła, napoju,
Zostawcie nas w pokoju!
A kyśz, a kysz!

Ostatnią zwrotkę chór powtarza i widmo dzieci znika.

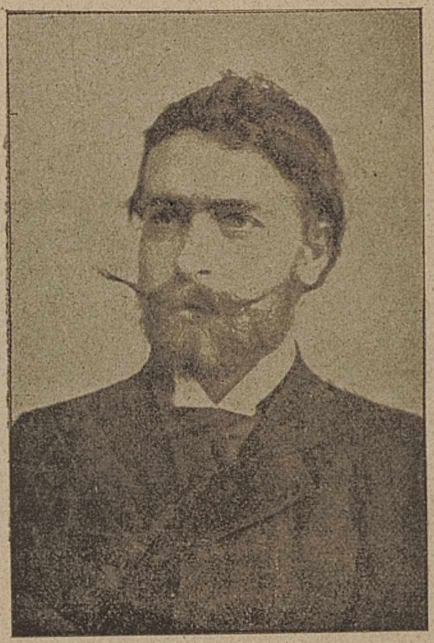
Następnie około północy zwraca się guślarz ze strasznem zaklęciem do tych, co największe zbrodnie popełnili, aby się zjawili, a może ludzie choć trochę złagodzą ich męczarnie i uchronią od kary piekielnej. — Na to wezwanie zjawia się straszny upiór, „jak kość na polu wybladły, w gębie dym i błyskawice, oczy na głowę wysiadły“ — i błaga choć o małą wody miarkę, choć o dwa ziarnka pszenicy, bo go straszne pragnienie pali i „wiecznych głodów jest pastwą“.

Upiór ten to nielitościwy bogacz, pan tej wioski, który za życia morzył sługi swoje a ubogim pozwalał ginąć u wrót swoich z głodu i zimna.

Włościanie litościwi i niepamiętni doznanych krzywd, chcieliby mu chętnie pomódz, podają mu jadło i napoje, ale to się na nic nie zda; żarłoczne ptactwo, latające naokoło wszystko w lot pożera i woła:

Darmo żebrze, darmo płacze:
My tu czarnym korowodem,
Sowy, kruki i puhacze,
Niegdyś panku, sługi twoje,
Któreś ty pomorzył głodem,
Zjemy pokarmy, wypijem napoje.
Hej, sowy, puhacze, kruki,
Szponami, krzywemi dzióby
Szarpajmy jadło na sztuki!
Chociażbyś trzymał już w gębie,
I tam ja szponę zagłębie;
Dostanę aż do wątroby.
Nie znałeś litości, panie!
Hej, sowy, puhacze, kruki,
I my nie znajmy litości:
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Niechaj nagie świecą kości!

Widmo, słysząc złowrogie głosy dusz tych, których on za życia krzywdził i nieraz o śmierć przyprawił, woła z rozpaczą do guślarza:



Stanisław Wyspiański,
autor głośnego utworu „Wesele,“ który przerobił na scenę „Dziady.“

Niema, niema dla mnie rady!
Darmo podajesz talerze,
Co dasz, to ptactwo zabierze,
Nie dla mnie, nie dla mnie Dziady!
Tak muszę dręczyć się wiek wiekiem:
Sprawiedliwe zrządzenie Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże!

Na zaklęcie guślarza i chóru widmo znika, a po kolei na nowe wezwania zjawiają się inne duchy i otrzymawszy, czego im potrzeba, odchodzą, aż w końcu guślarz chce zamknąć obrzęd Dziadów, gdy w tem ukazuje się jeszcze jeden upiór, który jednakowoż na wszelkie zaklęcia i pytania wcale nie odpowiada i mimo wezwania guślarza nie chce wcale zniknąć, ale uporczywie wpatruje się w jedną z pasterek, a następnie, kiedy tę wyprowadzają, postępuje za nią, co wszystkich obecnych wielce przeraża.

Pod postacią tego ostatniego upiora przedstawia poeta samego siebie, bo w nim

Serce ustało, pierś już lodowata,
Ścięły się usta i oczy zawarły;
Na świecie jeszcze, lecz już nie dla świata!

W czasie bowiem pobytu w Kownie, dotknął go nadzwyczaj bolesny cios. Ukochana przez niego Maryla Wereszczakówna wyszla za mąż za bogatego hrabiego Puttkamera, a niedługo potem stracił i ukochaną matkę. Zawód ten serdeczny, jak również i śmierć matki takim ogromnym bólem przejęły szlachetną duszę Adama, że stracił ochotę do życia, długo rozpacz targała jego sercem, rozchorowal się, byly nawet chwile, że gotów był rozstać się z tym światem, ale ostatecznie wiara, pamięć na matkę i silna wola odniosly zwycięstwo, porzucił myśl samobójstwa, ale mimo to przez pewien czas był jakby już nie z tego świata, był jakby upiorem, a raczej sam za takiego się w duchu uważał.

To płomienne a czyste jak strumień przejrzysty uczucie dla Maryli, ten bolesny zawód, tę walkę serdeczną i rozpacz po jej stracie, wyśpiewal nam poeta w czwartej części „Dziadów'' z taką potęgą uczucia i slowa, jakiego dotychczas na wyrażenie miłości nie tylko w polskiej, ale może nawet w literaturze calego świata nie było. — I nic dziwnego, bo była to historya pisana krwią, utoczoną z serca, a pisana przez mistrza nad mistrze.

Ale jako w ogniu oczyszcza się szlachetne metale od obcych przymieszek, jak żar płomieni zamienia miękkie żelazo na stal nieugiętą, tak i te płomienne serdeczne, ten ból niezmierny nad własnem nieszczęściem, uszlachetniły jeszcze więcej wzniosłą duszę Adama, charakter jego z tych katuszy wyszedł jaśniejący wszelkiemi blaskami dyamentu; odtąd — jak wiadomo — Mickiewicz zapomina niejako o sobie, o wszelkich własnych nieszczęściach i zawodach, a niezwykłym ogromem uczucia obejmuje cały naród, „chce go dźwignąć, uszczęśliwić, chce nim cały świat zadziwić.“

Lecz nie należy sądzić, aby i w tym czasie, w tych utworach, poeta myślał wyłącznie o sobie, napawal się jedynie własnym bólem, a w opisaniu tych męczarń ducha i serca szukał jedynie własnego ukojenia, własnej ulgi i pociechy. — Nie! Nawet czwartą część „Dziadów'' pisząc, myślał również o drogich, kreśląc serdeczną krwią własne dzieje, czynił to także dla „przestrogi,'' scenę boleści powtórzył dla nauki,'' że



Zaosie, dworek, miejsce urodzenia Adama Mickiewicza.

„Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy,
Ale dla dobra bliźnich swoich, ludzi!"

Ta idea czyli myśl przewodnia, że przeznaczeniem człowieka jest znojna praca tu na ziemi dla dobra wspólnego, dla pożytku ogółu, praca połączona ze wszystkiemi zmartwieniami i przykrościami, jeśli się kiedyś chce uzyskać zapłatę niebieską, przewija się jak złota nić przez wszystkie części „Dziadów."

Ileż np. w obrazie okrutnego i nielitościwego pana mieści się potępienia dla samolubów i wyzyskiwaczy ,ile miłości dla biednych i uciśnionych, jaki piękny rys charakteru ludu, który nie pamięta doznanych krzywd i spieszy chętnie z pomocą temu, co go niedawno gnębił i wyzyskiwał.

* * *

Skutkiem srogiego prześladowania przez rząd rosyjski młodzieży naszej na Litwie, uwięzienia i wywiezienia na Sybir Filaretów z rozkazu senatora wileńskiego, Nowosilcowa, Mickiewicza także wtrącono do więzienia, a następnie wywieziono go na wygnanie dnia 24-go października 1824-go roku. Biedny wygnaniec tułał się po świecie i przebywał między innemi we Włoszech. Podczas gdy Mickiewicz tamże tęsknił za krajem, zaszły ważne wypadki w Polsce, wybuchło bowiem w r. 1830 powstanie przeciwko potędze moskiewskiej.

Już w drugiej połowie panowania cara Aleksandra I. dopuszczano się niejednokrotnie pogwałcenia konstytucyi, nadanej Królestwu Polskiemu na kongresie wiedeńskim, deptano prawa i swobody obywatelskie, a po jego śmierci za rządów wrogiego nam cara Mikołaja I. powtarzało się to coraz częściej. Namiestnik carski, wielki książę Konstanty dopuszczał się dzikich okrucieństw na żołnierzach i oficerach polskich, nieraz ich czynnie znieważał; konstytucya istniała właściwie tylko na papierze. — To wszystko oburzało naród i budziło w nim wielkie niezadowolenie. Potworzyły się w Polsce liczne związki tajne, mające na celu urządzić powstanie. Wreszcie wskutek dalszych nadużyć, bezprawi i ucisku naród chwycił za broń i rozpoczął zaciętą walkę z wrogiem.

Hasło do boju dała garstka bohaterskiej młodzieży dnia 29-go listopada 1830 r., rzucając się z okrzykiem: „do broni! — śmierć tyranowi!" — na pałac w. księcia Konstantego. Za młodzieżą poszła Warszawa a wkrótce i cały naród, walcząc bohatersko z przemagającą siłą.

Na wieść o wybuchu powstania pcczął się Mickiewicz wybierać do ziemi ojczystej, aby wraz z innymi walczyć za jej wolność, ale początkowo brak funduszów nie pozwolił mu wybrać się w tak daleką podróż, a następnie zaszły inne przeszkody tak, że wyjazd z Rzymu się opóźnił. Po usunięciu tych przeszkód przybył poeta do Wielkopolski, ale stamtąd trudno się było przedostać do Królestwa, bo z jednej strony Prusacy, a z drugiej strony Moskale strzegli pilnie granicy.

Tymczasem powstanie upadło. Wojsko walczyło jak lwy; szczupłe hufce nasze nieraz cudów waleczności dokazywały, odnosiły zwycięztwa nad kilkakroć liczniejszym nieprzyjacielem; chłopi pod wodzą Dwernickiego zdobywali armaty — ale nie mieliśmy zdolnych wodzów, nie było tęgiego i energicznego człowieka, coby był głową i kierownikiem tej świętej walki o wolność, więc ostatecznie sprawa upadła.

Po pogromie tysiące rodaków musiało opuszczać kraj rodzinny, uchodzić przed zemstą zwycięzkiego cara i szukać przytułku na obcej ziemi. — Mnóstwo uczestników powstania znalazło początkowe schronienie w samem mieście Dreźnie. Tam udał się również i Mickiewicz z Wielkopolski. Z opowiadań dopiero wyrozumiał, jak wielką znowu klęską dotknął Pan Bóg nasz naród, a serce jego przepełniło się czarą boleści i żalu nad niedolą Ojczyzny, nad mękami jej dzieci. Do końca życia też żałował, że sam nie mógł krwi przelewać za świętą sprawę.

Ten ból serdeczny i miłość niezmierna ku nieszczęśliwej ziemi rodzinnej przepełnia wszystkie w tym czasie przez Mickiewicza napisane utwory poetyczne, a powstało ich pod wrażeniem tej niedoli daleko więcej w kilku miesiącach, niż kiedyindziej w ciągu wielu lat.

Najważniejszem z tych dzieł jest trzecia część „Dziadów," kreśląca nam wierny obraz tych mąk, jakie przeszli Filareci w kazamatach więziennych w Wilnie. — Filareci, będąc w więzieniu, przekupywali straże nocne i za ich zezwoleniem schodzili się w jednej z cel i tam wzajemnie się pocieszali i utwierdzali w nieszczęściu lub opowiadali sobie, co który widział i słyszał. Otóż między innymi jeden z nich nazwiskiem Sobolewski, który wrócił ze śledztwa z miasta, opowiada



Tuhanowicze, miejscowość, w której Mickiewicz po raz pierwszy ujrzał Marylę.

o wywiezieniu młodzieży szkolnej na Sybir, na co własnemi oczyma patrzał. Oto jego słowa:

...Dziś na Sybir... kibitek dwadzieścia
Wywieźli...
Sam widziałem... Wracając, prosiłem kaprala
Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem zdala.
Skryłem się za słupami kościoła. W kościele
Właśnie msza była, ludu zebrało się wiele:
Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,
Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przy-
[sionkiem,
I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem
Księdza z kielichem w ręku i chłopca ze
[dzwonkiem,
Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;
Od bram więzienia na plac, jak w wielkie
[obrzędy,
Wojsko z bronią, z bębnami stało we dwa
[rzedy;
W pośrodku nich kibitki... Patrzę z placu sadzi
Policmajster na koniu, z miny zgadłbyś łatwo,
Że to wielki człowiek wielki tryumf poprowadzi:
Tryumf cara północy, zwycięzcy — nad dziatwą!
Wkrótce znak dano bębnem i ratusz otwarty,
Widziałem ich, za każdym z bagnetem szły
[warty;
Małe chłopcy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci
Z golonemi głowami, na nogach okuci.
Biedne chłopcy! Najmłodszy dziesięć lat nieboże
Skarżył się, że łańcucha podźwignąć nie może
I pokazywał nogę skrwawioną i nagą;
Policmajster człek ludzki, sam łańcuch oglądał:
„Dziesięć funtów, zgadza się z przepisaną
[wagą.. “
Wywiedli Janczewskiego.. poznałem: oszpetniał,
Zczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszla-
[chetniał,
Ten przed rokiem swawolny, ładny chłopczyk
[mały,
Dziś spoglądał z kibitki, jak z odludnej skały
Ow cesarz — okiem dumnem, suchem i po-
[godnem.
To zdawał się pocieszać spólników niewoli,
To lud żegnał uśmiechem gorzkim, lecz ła-
[godnym,
Jak gdyby im chciał mówić: nie bardzo mię
[boli.
Wtem, zdało mi się, że mnie napotkał oczyma,
I nie widząc, że kapral za suknię mię trzyma,
Myślił, żem uwolniony! dłoń swą ucałował,
I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował
I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,
A kapral ciągnął gwałtem, ażebym się schował,
Nie chciałem, tylkom stanął bliżej przy kolumnie,
Uważałem na więźnia postawę i ruchy:
On spostrzegł, że lud płacze, patrząc na łań-
[cuchy,
Wstrząsnął nogą łańcuch, na znak, że mu
[niezbyt ciężył
A wtem zacięto konia: kibitka runęła;
On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,
I trzykroć krzyknął: „Jeszcze ...... nie
[zginęła!...
Wpadli w tłum... ale długo ta ręka ku niebu,
Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,
Głowa, z której włos przemoc obdarła bez-
[wstydna,
Głowa niezawstydzona, dumna, zdala widna,
Co wszystkim swą niewinność i hańbę ob-
[wieszcza,
I wstaje z czarnego tyłu głów natłoku.
Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszcza:
Ta ręka i ta głowa zostały mi w oku,
I zostaną w mej myśli i w drodze żywota
Jak kompas pokażą mi, powiodą, gdzie cnota;
Jeśli zapomnę o nich, ty, Boże na niebie,
Zapomnij o mnie!...

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim
Kibitki: ich wsadzono jednego po drugim.
Rzuciłem wzrok po ludu skupionego kupie,
Po wojsku: wszystkie twarze pobladły jak
[trupie,
A w takim tłumie taka była cichość głucha,
Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk
[łancucha.
Dziwna rzecz! wszyscy czuli jak nieludzka kara.
Lud, wojsko czuje, milczy, — tak boją się cara.
Wywiedli ostatniego, zdało się, że wzbraniał,
Lecz on biedny iść nie mógł, co chwila się
[słaniał,
Zwolna schodził ze schodów i ledwie na drugi
Szczebel stąpił, stoczył zię i upadł jak długi.
To Wasilewski; siedział tu w naszem sąsiedztwie,
Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,
Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.
Żołnierz przyszedł i podjął jego ciało,
Niósł w kibitkę na ręku, ale ręką drugą
Tajemnie łzy ocierał; niósł powoli, długo.
Wasilewski nie zemdlał, nie zwisnął, nie ciężał,
Ale jak padł na ziemię prosto, tak otężał:
Niesiony, jak słup sterczał i jak z krzyża zdjęte
Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;
Oczy straszne, zbielałe, szeroko rozwarte.
I lud oczy i usta otworzył; i razem



Modlitwa polskiej dziewczynki.

Jedno westchnienie z piersi tysiąca wydarte
Głębokie i podziemne jęknęło dokoła,
Jak gdyby jękły wszystkie groby z pod
[kościoła.
Komenda je zgłuszyła bębnem i rozkazem:
Do broni, marsz! Ruszono; a środkiem ulicy
Puściła się kibitka lotem błyskawicy.
Jedna pusta: był więzień, ale niewidomy;
Rękę tylko do ludu wyciągnął z pod słomy,
Siną, rozwartą, trupią; trząsł nią jakby żegnał.
Kibitka w tłum wjechała. Nim bicz tłumy
[przegnał,
Stanęli przed kościołem i właśnie w tej chwili,
Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.
Spojrzałem w kościół pusty i rękę kapłańską
Widziałem podnoszącą ciało i krew Pańską,
I rzekłem: Panie! Ty, co sądami Piłata
Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata,
Przyjm tę z pod sądów cara ofiarę dziecinną,
Nie tak świętą ni wielką, lecz również niewinną!“

Opowiadali sobie więźniowie jeszcze o innych okrucieństwach moskiewskich, po których włosy na głowie powstają, gdy w tem jeden z więźniów, imieniem Konrad, pod którym Mickiewicz siebie samego rozumie, zmienia się nagle na twarzy, patrzy takim wzrokiem jakby duch jego „uszedł i błądził daleko,“ a potem z duszy jego jakby z rwącej krynicy górskiej wypłynął cały potok słów z taką siłą, z taką gwałtownością, iż zdawało się, że nadmiar i potęga uczucia, boleści i rozpaczy rozsadzi to wielkie, cierpiące serce. Oto słowa Konrada.

.... Miłość moja na świecie,
Ta miłość, nie na jednym spoczęła człowieku
Jak owad na róży kwiecie:
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród! — objąłem w
[ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego po-
[kolenia,
Przycisnąłem, tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak
[ojciec:
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić.
Chcę nim cały świat zadziwić!

Konrad śpi w celi więziennej, a duchy dobre i złe walczą o kierunek myśli, uczuć i czynów więźnia. Przybywa ks. Piotr, braciszek Bernardyn, wypędza złego ducha z Konrada i ocala go. Wtedy braciszek pada krzyżem i błaga Boga, aby Konrada zrobił sługą swej wiary, a na niego, braciszka, złożył brzemię win Konrada. Chóry aniołów śpiewają mu pieśń ukojenia.

W jednej z następnych scen ks. Piotr modli się i ma widzenie. Widzi ciągnące na północ kibitki z młodzieżą, z dziećmi niemal. Jeden uchodzi — ten będzie wskrzesicielem narodu.

W dalszym ciągu rzecz dzieje się w salonie Nowosilcowa, okrutnika, szalbierza rozpustnego i mściwego, otoczonego zgrają zauszników w osobach Pelikana i Doktora.

* * *

W części czwartej przychodzi wieczorem o godzinie 9-tej na plebanią księdza w postaci ducha Gustaw, gdzie przebywa 3 godziny. W tym czasie opowiada księdzu dzieje swej miłości z Marylą. Miłość ich była niewinna i czysta, jak kwiat, a tak potężna, że młodzian we snach głośno marzył o swej lubej. Gustaw przypomina sobie mnóstwo chwil uroczych i gorzkich zarazem, a wśród tych wspomnień godzina miłości uchodzi i jedna świeca gaśnie.

Następuje godzina rozpaczy. Dziewczę poszło za mąż. — Gustaw we wspomnieniu przebywa znów te chwile strasznej męki, jaką znosił po rozstaniu się z Marylą. Rozpacz wyżarła w nim wszystkie uczucia, pozostawiła tylko duszę, nie dozwalającą mu żebrać litości. Pod koniec godziny przebija się i druga świeca gaśnie. W godzinie przestrogi Gustaw prosi księdza, aby przywrócił obrzęd Dziadów: obrzęd ten i modlitwy po-

trzebne są duszom zmarłych. Dla siebie Gustaw o nic nie prosi; będzie czekał, aż duszę Maryli Bóg do siebie powoła, a wtedy i jego cień wkradnie się tam za nią. Wreszcie wybija godzina powrotu duchów, trzecia świeca gaśnie i Gustaw znika.

* * *

Oto treść „Dziadów,“ których Wyspiański przewybornie, artystycznie, słowem po mistrzowsku uscenizował w następujących 6-ciu obrazach: I. Cmentarz wiejski na Litwie, II. Opustoszała kaplica cmentarna, III. Izba w mieszkaniu księdza na plebanii, IV. Cela w klastorze, przerobionym na więzienie stanu, V. Sala w mieszkaniu senatora, VI. Widma na cmentarzu.

Bohaterem sztuki jest Gustaw-Konrad. Rola ta bardzo trudna dostała się w udziale p. Wiślańskiemu, któremu nie możemy odmówić wielkiego uznania za należyte przejęcie się nią, za głębokie uczucie, z jakiem ją oddał, słowem p. W. przeprowadził rolę swą konsekwentnie i umiejętnie. Prócz Gustawa-Konrada cały szereg artystów ma role drugo i trzecio-rzędne, ale wszyscy niemal, prócz niektórych, grających małe role epizodyczne, świetnie mu sekundowali i przyczynili się grą swą staranną do wytworzenia pięknej, harmonijnej całości. W pierwszym rzędzie zasługuje na najzupełniejsze uznanie p. dyrektor Ryger w roli ks. Piotra. Pan Czerniak jako guślarz wywiązał się z roli swej także znakomicie, niemniej był p. Szymański dobrym jako dziedzic-upiór.

Na wyszczególnienie zasługują dalej pp. Poleński jako senator Nowosilcow, Andruszewski, jako duch-kusiciel, który się nadto wybornie ucharakteryzował, oraz Ryszkowski, mianowicie w scenie jako duch-doktor.

Z pań największe uznanie należy się weterance naszej sceny, pani Królikowskiej za piękną, dobrze obmyślaną i należycie wystudyowaną kreacyę sylwetki pani Rollisonowej. Niemniej dobrze wywiązała się ze swego zadania panna Podgórska, jako Maryla; starannie grały także panie Jeremi (archanioł) i Sznage (Zosia).

Wystawa była świetna, charakterystyka typów znakomita, maszynerya funkcyonowała, mianowicie przy ukazywaniu się i znikaniu duchów, upiorów i t. d. należycie, światło elektryczne zastósowane było z efektem. Za taką wystawę, za to wszystko należy się uznanie dyrekcyi; pracą i poświęceniem zasłużyła na to najzupełniej.

Publiczność, przeważnie dla sceny narodowej chłodno usposobiona, zainteresowała się „Dziadami“ w niebywałym u nas stopniu tak, że teatr na pierwszych kilku przedstawieniach okazał się zbyt małym. W każdym razie był sukces artystyczny, moralny i materyalny najzupełniejszy.

Kto czci tego, który „cierpiał za miliony i kochał za miliony,“ kto kocha Ojczyznę niech nie zaniecha sposobności ujrzenia „Dziadów“ i niech podąży z blizka, czy z daleka do przybytku naszej sceny narodowej, a będzie miał iście królewską ucztę duchową, a na taką ucztę nie żal przecież wydać cokolwiek grosza. Nie wątpimy też, że mianowicie prowincya przy tak udogodnionej dzisiaj i taniej komunikacyi podąży tłumnie na „Dziady,“ to też życzymy dyrekcyi, aby przy następnych przedstawieniach „Dziadów,“ których oby było jak najwięcej, cieszyła się największym sukcesem, nie tylko moralnym, ale i finansowym. Szczęść Boże!

—ski.

Modlitwa polskiej dziewczynki.

(Do illustracyi.)

O mój Ojcze w niebie,
Prośbą mą jedyną,
Bym umiała godnie
Być polską dziewczyną.

Bym szczerze kochała
Polskę moją słodką,
Abym była zawsze
Dobrą patryotką.

Bym umiała cierpieć
Dla mojej Ojczyzny,
Kiedy nieprzyjaciel
Zada sercu blizny.

Bym była niewinną
Przez me życie całe,
Była świętą, czystą
Jak te orły białe.

O Panno Najświętsza
Błagam ja Cię szczerze,
Bym język mój znała,
Była silną w wierze.

Bo nasz polski język,
Wiara w polskim domu
Uchronić nas zdoła
Od hańby i sromu.

Główną mą zaletą
Niech będzie prostota,
Największą ozdobą
Dawnych Polek cnota.

Jadwiga Wyrybkowska.

Nasze illustracye.

„Szkodnicy.“ — Bydło pasie się na skraju lasu, pastuchy śpią, a jedna z krów weszła w zboże księdza plebana i wyrządza tam szkodę. Przechodzący właśnie drogą ksiądz pleban widzi w swem zbożu nieproszonego gościa, więc idzie zbudzić pastuchów, by ich wyłajać za niedbalstwo i lenistwo. Scena taka często się wydarza na wsi. Głębokie odczucie natury, ścisłość w każdym drobiazgu i pełna wdzięku kompozycya — oto zalety nadające obrazowi utalentowanego artysty i nieporównanego twórcy szkiców humorystycznych, F. Kostrzewskiego, wysoką artystyczną wartość. Reprodukcyę zamieszczamy na albumowej illustracyi. *—ski.*

Długoletni prezydent.

(Do illustracyi).

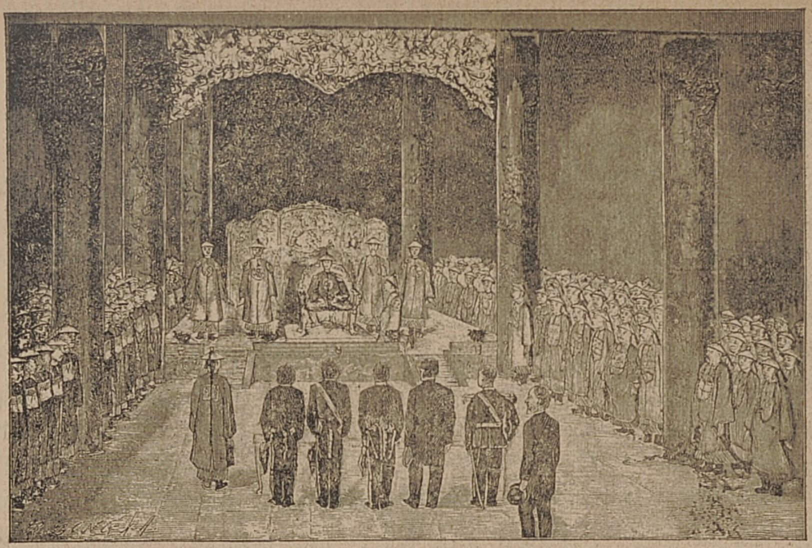
Zjawisko to rzadkie, by rzeczpospolita miała jednego i tego samego prezydenta od lat dwudziestu czterech. A przecież istnieje taki kraj szczęśliwy. Jest nim Meksyk, największa republika w Ameryce środkowej. Prezydentem od 1876 z przerwą od 1880—



Porfirio Diaz, prezydent Meksyku.

1884 roku jest tam generał Porficio Diaz. W roku 1900 wybrano go znowu na następne czterolecie. Konstytucyę wzorowano na ustawie Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej. Pochodzi ona z pierwszych lat po wypędzeniu władz hiszpańskich. Ogłoszono ją 4-go października 1824 r. Od tego czasu zmieniano ją często.

Według konstytucyi spoczywa władza wykonawcza w rękach prezydenta, wybieranego pośrednio na przeciąg lat czterech, i gabinetu złożonego z siedmiu sekretarzy stanu. Władzę prawodawczą posiada kongres. Senat składa się z przedstawicieli Stanów, po dwóch z każdego. Połowa senato-



Audyencya w Pekinie w r. 1873-im.

rów traci mandat po upływie lat dwóch i musi się poddać wyborowi ponownemu. Deputowani w liczbie 227 są wybierani także co dwa lata.

Zasługą prezydenta Porfirio Diaza jest stworzenie dobrej armii. Armia regularna, dobrze wyćwiczona, ma 40,000 żołnierza, gwardyę krajową, 3,000 jeźdźców, oddziały gwardyi miejskiej, wreszcie rezerwy. W pole Meksyk może wysłać cztery korpusy armii (12 dywizyi), które posiadają 3,700 oficerów, 130,000 piechoty, 26,000 kawaleryi, 4,000 artyleryi, 2,000 inżynieryi. Pospolite ruszenie posiada pół miliona popisowych, którzy po dwóch miesiącach musztry mogą się stać wybornymi żołnierzami.

Porficio Diaz okazał się bardzo przezornym politykiem. Stany Zjednoczone długie lata żywiły apetyt na urodzajny i bogaty Meksyk. Od czasu stworzenia silnej armii Amerykanie muszą poprzestać na apetycie, nie mogąc myśleć o jego zadowoleniu. I tak Stany Zjednoczone posiadają dwie prowincye, które należały do Meksyku: jest toTexas i Kalifornia. Texas przeszedł pod sztandar gwiaździsty Unii jeszcze przed wojną 1864 — 1867. Wojska amerykańskie wkroczyły wówczas do stolicy rzeczypospolitej, do Meksyku. Po wojnie Unia zabrała Meksykowi Kalifornię, oraz ziemię po za rzeką Rio Grande del Norte, ogółem 1,650,000 klm. kwadr. W 1854 r. sprzedał prezydent meksykański Santa-Anna część stanu Arizona Unii za sumę 10 milionów dolarów.

To był już ostatni nabytek Stanów. Od tej pory nie zdołały one oderwać ani piędzi ziemi meksykańskiej, nie zdołały nawet uczynić z Meksyku swego satellity politycznego. Od czasu zaboru Kuby, Meksyk stał się jeszcze ostrożniejszym. *L.*

Dawniej a dziś.

(Do illustracyi.)

Było to w roku 1873-im, gdy przedstawiciele państw europejskich po raz pierwszy stanęli przed obliczem bogdychana w Pekinie. Ceremonia odbyła się o godzinie 5 rano, w pawilonie położonym po za pałacem i przeznaczonym umyślnie przez Syna Nieba na audencye królów, lenników, panujących Anamu, Synamu i Korei.

Wedle zapatrywań Chińczyków dyplomaci zagraniczni przyjęci zostali dlatego tylko przez cesarza, aby złożyli mu tem akt lennictwa, a przekonanie to doskonale wyraża następujący ustęp „Gazety Pekińskiej", będącej organem urzędowym:

„Ambasadorowie kilku państw, proszący o audyencyę u cesarza, chcieli wejść w lektyce przez wrota Tayhomon, wkroczyć do pałacu ze szpadą, a nawet żądali, aby cesarz zszedł z tronu i odebrał listy, które mieli doręczyć własnoręcznie od swych władców. Cesarz, słyszawszy to, rzucił filiżankę o ziemię, rozbijając ją na tysiące kawałków i z miną surową oparł się podobnym zachciankom.

Wreszcie postanowiono, że 6-go dnia szóstego miesiąca będą mogli ujrzeć cesarza w sali zwanej Tse-Kuang-Ko. W wigilię tego dnia udali się do Tsung-Li-Yamenu, aby przygotować się do ceremonii, ale czynili to z lekceważeniem aroganckiem, śmiechem i żartami, bez najmniejszej uwagi i przejęcia się tak ważną uroczystością.

W dniu oznaczonym gwardzista Szenky, przybrany w najpiękniejsze stroje, stał przy drzwiach Sy-Uanu z wydobytym mieczem. Przedstawiciele państw, w liczbie dwunastu osób, którym pozwolono mieć przy sobie szpady, przeprowadzeni przez wielkich mandarynów Tsung-li-Yamenu, weszli przez wrota Sy-Uan; zaledwie minęli próg, drzwi zamknęły się za nimi na zasuwy.

Stanąwszy w niższej sali, udali się za mandarynami po schodach przed oblicze cesarza, który siedział na tronie. Ambasadorowie przywitali go nie na klęczkach, lecz pochyleniem głowy. Poseł Anglii zabrał głos pierwszy, ale zaledwie wygłosił kilka słów, począł drżeć tak silnie, że nie mógł dokończyć zdania. Daremnie cesarz zagail rozmowę, wypytując, czy jego władzca ma się dobrze. Nie było żadnej odpowiedzi. Cesarz dodał: „Tyle razy chciałeś pan widzieć się że mną, co mi masz obecnie do powiedzenia?" Ani jedno słowo odpowiedzi nie mogło wyjść z ust posła."

Tak było 27 lat temu. A dziś...

—ski.

Działanie umierających na odległość.

Słynny astronom francuski, Kamil Flammarion, niejednokrotnie opisywał wypadki, w których według jego silnego przekonania, ludzie umierający mogli za pomocą niezbadanej dotąd telegrafii duchowej, dawać swym krewnym lub najbliższym przyjaciołom dziwne słuchowe, wzrokowe lub mechaniczne sygnały. Wiara tego uczonego, że ludzie ziemscy, znajdujący się między dwoma światami, posiadają rzekomo nadziemską zdolność posyłania daleko oddalonym ukochanym ludziom wizyj, głosów lub stuków, „oddaje — jak powiada Schopenhauer — wszelką cześć duchom, które straciły już kredyt u ludzi."

W istocie wobec uczonego tej sławy i znaczenia, co Flammarion, nie można odpowiedzieć wprost, że wchodzi tu w grę zabobon, lub wyobraźnia. Również wznowienie teoryi telepatyi duszy właśnie w obecnych czasach, posiada w sobie rzekomo ponętny moment analogicznego odkrycia.

Skoro sygnał elektryczny — jak dowodzi wynalazek Marconiego — nie wymaga drutu, skoro energia elektryczna bez widocznie oznaczonej drogi rusza w świat i działa tam, dokąd była posłana, to dlaczegóżby niezbadana dotąd energia myśli i uczucia nie mogła tak samo działać między dwoma ludźmi?

Flammarion opowiada, co następuje:

W Andlau, w Alzacyi, znajdowało się kilkanaście osób przy obiedzie. Czekano na pana domu, który poszedł

na polowanie. Ponieważ długo go nie było widać, goście siedli bez niego do stołu. Rozmowa toczyła się o wesołych rzeczach, gdy nagle otwarte okno zamknęło się z trzaskiem i otworzyło potem znowu, pomimo, iż nie było najmniejszego wiatru. Goście byli tem więcej zdumieni, że okno nie mogłoby się otworzyć, nie wywracając karafki z wodą, która stała na stoliku przy oknie. Pani domu skoczyła przerażona i zawołała: „stało się jakieś nieszczęście.“

W pół godziny potem przyniesiono zwłoki jej męża do domu. Otrzymał cały ładunek śrutu w piersi, umarł natychmiast i mógł tylko jeszcze powiedzieć: „moja żona, moje biedne dzieci!“

Tem opowiadaniem Flammariona zajmuje się żywo świat uczonych, a niektóre ich zdania o tem przytaczamy poniżej.

I tak zwyczajny profesor filozofii na uniwersytecie wiedeńskim dr. Wawrzyniec Müller, powiada: bez względu na ten odosobniony wypadek, który możnaby objaśnić zbiegiem okoliczności, lub niedokładną obserwacyą, muszę oświadczyć, że Flammariona można w jego zapatrywaniach zrozumieć, ponieważ jest to myśliciel panteistyczny i wskutek tego przyjmuje jako pewne takie łączniki, które się usuwają z pod innego sposobu myślenia. Fakt sam jako taki, nie jest nawet nowy. Austryacki poeta Casteli opowiada o dwóch bliźniakach, z których jeden zginął w pojedynku, a drugi w tej samej chwili umarł, znajdując się o kilkadziesiąt mil od miejsca pojedynku.

Zasadniczo wszystkim takim opowiadaniom można zarzucić to, iż podane w nich fakta nie są zbadane krytycznie. Sprzeciwiają się one wszystkie w zasadzie historyi naturalnej, że dany czynnik tylko tam działać może, gdzie się znajduje.

Znany astrofizyk Zöllner nazwał dlatego w swej książce p. t.: „Historya naturalna a objawienie chrześcijańskie“ takich wielkich fizyków, jak Maxwell i Thomson, neoscholastykami, ponieważ uznają zdanie, że ciała tylko tam działać mogą, gdzie się znajdują. Gdyby zatem te wydarzenia można uważać za wiarogodne, to w każdym razie należałoby przyjąć istnienie łączników. Historya naturalna może się powołać na eter, co jednakowoż przy zjawiskach duchowych jest wykluczone.

Ale właśnie dla kwestyi działania na odległość zebrał liczne wypadki Perty w swych książkach: „Mistyczne zjawiska w naturze ludzkiej“ i „Antropologia, jako nauka o cielesnem i duchowem życiu człowieka.“

Co się tyczy Flammariona, to można do jego charakterystyki przytoczyć jeszcze co następuje: Gdy Schiaparelli, astronom medyolański, obserwewał liniowate zmiany na powierzchni Marsa, tak zwane „kanały Marsa,“ ze spostrzeżeń swych wyciągnął zaraz wnioski co do mieszkańców oraz ich fizycznych i duchowych własności tej planety.

A co Flammarion mówi o znakach dawanych u umierających?... Oto — że ruchy umierających możnaby objaśnić refleksami. Organizm może już od pewnego czasu przestać być czynnym, co jednakowoż nie wyklucza wszystkich ruchów.

Dr. Paweł Zimmermann, pastor ewangielicki w Wiedniu zajmuje się już od wielu lat tym tematem i stanowczo twierdzi, że dusze działają na siebie wzajemnie i bez dotknięcia cielesnego. Szczególnie w dziedzinie psychologii istnieje jakiś pośredni związek dusz.

Gdy raz słynny filozof szwedzki Swedenborg znajdował się w Berlinie w wesołem towarzystwie, skoczył nagle zaniepokojony i twierdził, że jego żona znajdująca się w Sztokholmie, musi w tej chwili okropnie się czegoś bać. Jak się później dowiedziano od pani Swedenborg, w owym czasie właśnie wybuchł w blizkości jej domu wielki pożar, który ją przejął niemałym strachem.

Jak sobie wytłómaczyć takie i tym podobne wypadki? Odsyłać je wprost w dziedziny zabobonu byłoby z gruntu fałszywem, ponieważ n. p. taki Swedenborg był raczej wszystkiem, niż zabobonnym. Uważać to jako przypadek byłoby również nierozsądnem, ponieważ takie skombinowane wypadki zdarzały się rzadziej. Jesteśmy więc zmuszeni myśleć o komunikacyi dusz bez cielesnego zbliżenia, czyli mówiąc językiem współczesnym, o telegrafii dusz.

W naszem życiu codziennem zdarzają się zawsze małe wypadki, z których możemy wnioskować, że istnieje komunikacya dusz. Myślimy np. o pewnej osobie i dowiadujemy się potem, że w tej samej chwili ta osoba pisała do nas list. Gdy się takie wypadki zdarzają, mówimy sobie po prostu, że to przypadek i nic więcej. Jest to doskonały wybieg dla ludzi ciężko myślących, zdaje się jednak, że każdy, kto posiada samoistne życie duchowe, nie będzie przeczył istnieniu komunikacyi dusz. Tylko materyaliści, którzy wogóle nie wierzą w istnienie duszy, mogliby nie wierzyć w taką rzekomo nadziemską komunikacyę.

Takiego samego zapatrywania jest profesor psychiatryi na uniwersytecie wiedeńskim, dr. Ryszard *Krafft-Ebing*. Oświadcza on bez ogródki, nawet cokolwiek brutalnie, że w taki „idyotyzm,“ jak działanie umierających na odległość, nie wierzy on wcale. Nauka nie zna telepatyi, a o takiem głupstwie, które ma swoje źródło w zabobonie i zapatrywaniach spirytystycznych, nawet mówić nie warto. „W r. 1896 — powiada dalej — wyraziłem moje zdanie o hypnotyźmie i spirytyźmie. Nauka uznaje hypnotyzm, z którym spirytyzm jednak nie ma nic wspólnego. Tak samo nie może nauka brać na seryo wytworów zabobonu u ludzi i dlatego nie zajmuje się wcale telepatyą. Być może, że wykształceni ludzie wierzą w działanie na odległość, musiałbym ich jednak wpierw zbadać, aby stwierdzić czy to jest zabobon, czy też stan patologiczny. Wogóle o tak głupiej rzeczy nie chcę mówić wcale...“

M. Z.

Czarna dola.

Z tematów emigracyjnych

przez

Leokadyę Wierusz-Kowalską.

(Ciąg dalszy).

Ile to czasu potrzeba na ścięcie jednego drzewa, na wydobycie z ziemi parowiekowego pnia, na urządzenie roli pod zasiew, na budowę chaty i zabudowania gospodarskie — to praca licząca się na lata.

Każdy mężczyzna pomyślał najprzód o jakim takim dachu nad głową. Wbite pale pokrywano płachtami, workami, kapotami nawet, byle mieć co prędzej schronienie, choć gorsze ono było od legowiska czworonoga.

Jednak takie pomieszczenie okazało się niepraktyczne, ponieważ dziki zwierz mógł we śnie pożreć człowieka, przeto urządzono spanie bardzo niewygodne, i również nie zabezpieczające od nieszczęścia, pod samym dachem.

Z iście chłopską cierpliwością wzięli się do ścinania drzew i do karczowania. Robota z braku rąk koniecznych i odpowiednich narzędzi szła nadzwyczaj po mału i ciężko, nad siły ludzkie.

Na kawałkach swobodnego gruntu sadzili czarną fasolę.

Zwykłe pożywienie brazylijskich biedaków...

Pracowali wszyscy zawzięcie po całych dniach, a robota prawie nic nie posuwała się naprzód.

było chleba, mąki, garstki kaszy.

Pieniądze, jakie mieli swoje i od brazylijskiego rządu, już wyszły im na życie, za które bardzo drogo płacili w mieście.

Zniechęcenie ogarnęło ich. Wymówki następowały po wymówkach, sprzeczki i kłótnie.

Chłopi przeklinali ajenta Moryśkiewicza; kobiety swoich mężów...

Przychodziło do ostrych słów...

W końcu zgodzili się na jedno, że się uwieść dali. Zrozumieli nareszcie, że Brazylijczycy ich łzami, potem i krwią chcieli użyźniać rolę, karczować lasy, zakładać kolonie i zaludniać puste obszary leśne na ruch i życie!..

Obietnice pomocy ostatniego urzędnika to także bezczelne kłamstwo!..

Teraz wspominali serdecznie tych odradzających im wyjazdu do Brazylii: a więc ci, co pisali po gazetach, przestrzegając, wstrzymując ich; księża, państwo — to ich prawdziwi i szczerzy przyjaciele, którzy w nich — prostaczkach, widzą braci swoich.

— O czemużeśmy ich uczciwych i mądrych rad nie słuchali!.. — powtarzano często.

— Czy też kiedy wróciewa do kochanej swej ziemi?

— Nigdy, już nigdy!.. — odpowiadali z ciężkiem westchnieniem.

— Jak-że jechać?.. za co jechać?..

— Tu człowiek żyje ,jak poganin: ani kościoła ani księdza. Rano, w południe i wieczór klękali wszyscy pod sklepieniem niebios, śląc modlitwę gorącą do Najwyższego, o cud powrotu do ojczyzny, którą tak lekkomyślnie porzucili.

— Najnędzniejszemu żebrakowi tam lepiej, niż nam tutaj — na obczyźnie.

W pracy nie ustawali, chcieli nią zwalczyć złą dolę, lecz napróżno. Moskity, kleszcze i inne owady cięły ich twarze, ręce i nogi, które puchły i krwią ociekały; a od pchły ziemnej trzeba się było strzedz ciągle.

Jeszcze większe nieszczęścia zaczęły się walić na biednych naszych braci. Głód dokuczał. Troje dzieci zmarło, jedno z nich było Niwiaków. Księdza do pochowania niema, któryby święconą wodą pokropił niewiniątka.

Cmentarza w blizkości niema.

Do miasta daleko, a przy okrutnym upale, ani myśleć tam iść.

Więc płacząc, opodal od swej nędznej osady, pochowali zmarłe dziatki, zatykając krzyż drewniany na mogiłkach.

Miejsce to uważane zostało przez wieśniaków — jako świętość jaka zbierali.

Jakież ich było przerażenie i rozpacz zarazem, gdy w pewien czas ujrzeli mogiły rozkopane... a opodal białe, nagie kości swych dziatek...

W jakiś znów czas, Wawrzuś zapędził się daleko w las i więcej nie wrócił... Tylko jego czerwoną „krakuskę“ znaleziono...

Dłużej wytrwać nie mogli. Okropną puszczę postanowili opuścić.

Maryna, z ciężkiej troski, wycieńczenia i głodu rozchorowała się bardzo; każda chwila jej życia była policzona.

— Stachu — skarżyła się cicho — trza skończyć bez spowiedzi i komunii świętej... Jak pomrę... włóż mego trupa do tej wielkiej opałki i zawieś na drzewie... wysoko... żeby mnie dzikie zwierzęta nie rozszarpały po śmierci... Jak moją córunię kochaną... i Wawrzusia... tego nieboraka żywcem zjadły... biedny męczennik... Wyschłam, jak wióro, nie zdźwigasz się nademną...

A pamiętaj o tych prochach naszej ziemi, które mam przy szkaplerzu.

Hanka, łamała ręce, szlochała okrutnie, dwoje małych także, choć nie rozumiały jeszcze nieszczęścia.

— Maryna! — wołał Stach, płacząc, jak dziecko — daruj mi... Jam zaprzepaścił ciebie, nasze robaki i siebie... Oj, doloż moja, dolo, łzami i krwią pisana...

— Przebaczam ci wszystko!... jeno z jednym warunkiem... Zabierz dzieci — tych troje... i uciekaj do swego kraju, do swoich, choć o głodzie, boso, o żebraninie. A *tam* sprawisz mszę świętą... za mą biedną duszę... mszę świętą....

— Oj, nie wróciewa my pono już nigdy!... Dyć wiesz, jak długa droga... Chyba ptakiem morze przelecić... Bo biedaka darmo nie wezmą — jeszcze z dziećmi...

— Boże, mój Boże, ciężka moja śmierć... skarżyła, jakby do siebie, chora, a po chwili szeptała znowu. — Ty i Hanka pamiętajcie o Marysi i Janku...

— Matusiu! nie mówcie tak!... bo ja się chyba zabije za wami — zawodziła rozpaczliwie Hanka.

Maryna dostała silnej gorączki i kończyła swe krótkie, lecz pełne cierpień i trosk życie, bez żadnej pomocy.

Przed samą śmiercią zaczęła majaczyć i uśmiechać się:

— Stachu, nie pojedziewa do Brazylii... bo mi się śniły straszne rzeczy... Że Wawrzusia i Zośkę *wilki* pożarły... Tu nam tak mileńko... Takie modre niebo, słonko ciepłe, jasne, śmieje się do nas... i ogrzewa błogo... kłam... Jutro pojedziewa na sumę... Patrz, jak ksiądz galańcie ubrany... bieluśko, złocisto, nikiej anioł święty... Siedzi w konfesyonale... Trza mi się wyspowiadać... Najświętszą Hostyę podnosi... Nasza Hanka ślub bierze... Świece się palą... kadzidło pachnie... Matka Bozka z ołtarza uśmiecha się do mnie... a synaczek klaszcze w rączki i skacze radośnie...

Tak ślicznie w naszym kościele, nikiej w niebie... Jezus, Marya! — krzyknęła głosem strasznym, który był u niej ostatni.

W opałkę, w której sypiały dzieci Niwiaka, nasypano ziemi, nasłano mchu zielonego i na tej pościeli... spoczął trup Maryny...

W najlepsze szmaty ubrała ją Hanka. Krzyżyk włożono w zastygłe, spracowane dłonie.

Dwoje małych dzieci siedziało przy zwłokach matki.

— Matusiu!... dajcie chleba... jeść mi się chce — skarżył się Janek.

— Matusiu!... gaga — i wyciągnęła Marysia ku zamkniętym powiekom zmarłej, skrwawioną rączynę... ale oczy matki nie spoczęły z czułością na niej, nie ulitowały się cierpieniu dzieciny.

— Czym ja się spodziewał — biadował Stach — że ona, jak bydlątko zamrze... a jak nie człowieka pochowam ją...

Wszyscy zgromadzili się obok zwłok nieboszczki i klęcząc odmawiali głośno: trzy „Ojcze nasz,“ trzy „Zdrowa Marya“ i trzy razy Wieczny odpoczynek za duszę ś. p. Niwiakowej. Później ze zbolałych niedolą i troską ich piersi płynęła pieśń za zmarłych:

„Witaj Królowo Nieba i Matko litości,
Witaj nadziejo nasza w smutku i żałości“.

Ogarnął tych zbiedzonych ludzi żal okrutny, płakali chórem gorzko, rzewnie, jak potępieńcy. Wszak stracili wszystko — nawet nadzieję.

Pyłem polskiej ziemi posypano oczy Maryny, okryto prześcieradłem, nasypano piasku, mchu; zwłoki zawisły na dwóch drzewach.

Po tym pogrzebie niezwykłym, zabrawszy, co kto miał z nędznych rzeczy, bo wszystko tu wyniszczyli, wyruszyła partya do jednego z większych miast portowych.

IV.

Pochód był uciążliwy... o głodzie i podczas spiekoty, lecz szli, jak skazańcy, pod ciosem cierpień, które się nigdy nie miały skończyć.

W drodze zmarło dwoje dzieci. Pochowano je w suchej, spieczonej ziemi... bez trumienki i krzyżyka...

W napotkanej rzece kilku wieśniaków kąpało się... na raz krzyk okropny wydobył się z piersi jednego z nich; pospieszono z pomocą, by wyciągnąć okrwawionego już trupa, a jednocześnie dwa straszne potwory kierowały się ku ratującym, ledwie zdołali uciec przed krokodylami, które wieśniacy w nieświadomości swej nazwali „dyabłami wodnemi.“

I poszli znów dalej trwożni, z nowym cierniem w sercu. A zwłoki polskiego chłopa zostały na strawę żarłocznych kajmanów.

Załamywali desperacko ręce i pełne łez oczy wznosili na to słońce, za którem niejako chcieli ujrzeć Boga litującego się niedoli ich — a tymczasem — to słońce piekło ogniem głowy, paliło żarem ciała.

Przywlekli się nareszcie do jakiejś portowej miejscowości: chudzi, czarni, nędzni. Tu kres być musi przymusowej ich bytności — niezdolni iść dalej, bo głód i bieda wszędzie im towarzyszy.

Zarobić trudno. Nieznajomość miejscowego języka pogorsza ich położenie. Padali z głodu, jeśli im kto nie przyszedł z pomocą. Jedno mieli wszyscy marzenie... jednę myśl... jedno hasło — „powrót do kraju.“

Stach kręcił się, jak piskorz, i Hanka także, by wyżywić siebie i małych dwoje... Nic im się nie wiodło.

Niwiak zachorował. Hanka posprzedawała wszystko, przy jednej tylko spódniczynie i koszuli została.

Jednego dnia, wróciwszy, wpadła do nory, w której głodne i obdarte dzieci siedziały; chory ojciec leżał bezprzytomny i wycieńczony. Przyniosła im białego chleba, butelkę kawy i mięsa kawałek. Oczy miała spłakane... twarz rozpaloną... usta spieczone... Nie tylko dzieci, ale i chory połykał chciwie te przysmaki, jakie od pewnego czasu znosiła im Hanka.

Ojciec, gdy przyszedł trochę do siebie, zapytał córki:

— Hanka, skąd ty masz pieniądze na te specyały?... Możeś ty kradła?...

— Co mówicie — mieszając się, zaprzeczała dziewczyna. — Uchowaj Boże!... Ja... ja... tatulu! znalazłam...

— Co?... Co ty mówisz?... Masz pieniądze?... Dawaj, dawaj! — krzyczał; jak szalony — dawaj!

Wróciewa zaraz do kraju! Ja będę zdrów, ja muszę być zdrowym! Wróciewa.. Dawaj!!!

Hanka wystraszyła się podniecenia ojca i cała w pąsach tłómaczyć się poczęła:

— Tu przy sobie ich nie mam... ale zaraz przyniosę... Schowałam w ziemi..

— Pójdziewa razem... — wstał... ozdrowiał, jak cudem...

— Nie można!... — krzyknęła dziewczyna. Jakby nas tam obojga zobaczyli... toby pewnikiem śledzili i pieniądze... przepadłyby...

— A no, to ruszaj mi zaraz sama i wracaj prędko... prędko!...

Po odejściu córki, chodził, jak w gorączce: widział już dzieci i siebie w Zagrodowie; słyszał koło siebie własną mowę... widział swoich braci... a na ich twarzach litość i współczucie nad przebytą jego niedolą; żalą się losu biednej Maryny... Ujrzy proboszcza swego, z srebrzystym włosem, na skroni; padnie mu do nóg i wyzna, że źle uczynił, nie usłuchawszy jego dobrej rady; poprosi go o mszę świętą za duszę zmarłej żony... Bóg jeden wie, co marzył nieszczęśliwy!...

Dzień i noc zaszła — Hanka nie wraca... Ojciec niepokoił się bardzo: nie jadł, dzieciom także co dać nie było. Chodził, jak nieprzytomny przed norą, służącą im za mieszkanie.

Na raz zauważył ludzi, coś wielkiego niosących, ciężar ten złożyli u stóp jego... z pod zasłony wysunął się trup Hanki...

Jeden z mężczyzn wskazał na ranę, jaką miała na szyi i objaśniał na migi, że w lesie, czy w ogrodzie zjadliwy gad ją ukąsił... i z zatrucia krwi umarła; drugi, wyuczony jeszcze za życia dziewczyny, powtarzał te słowa po polsku. „To moja kochanka...“

Stach oniemiał, zdrętwiał na tyle ciosów walących się, jak góry skalne na jego biedną głowę... Stał jakby skamieniały, nieczuły — nie widział nic przed sobą — przestał myśleć... Nie spostrzegł, że ludzie już odeszli — stał ciągle, jak niemy posąg rozpaczy nad trupem swej młodziutkiej córki — kochanki Brazylijczyka...

Myśl, jak ptak więziony w klatce rozbijać się poczęła o twarde ściany swej niemożebności: Trzeba ją pochować, a niema za co... Wybuchnął nadludzkim jękiem i płaczem, rzucił się na klęczki i głaskał z pieszczotą twarzyczkę Hanki, niegdyś białą, rumianą — dziś szczupłą, ciemną i wydłużoną. Łzy jak deszcz spadały na zmarłe zwłoki dziewczki, żal bezbrzeżny szarpał i targał w strzępy serce ojcowskie.

— Zmarnowałaś mi się nieboże... A wszystkiemu nieszczęściu jam jeden winien tylko...

Dla wyżywienia chorego ojca, brata i siostry — sprzedała się... biedne dziecko moje!... Wstyd jadł jej duszyczkę i serce. Skłamała przedemną, że znalazła pieniądze... Nieszczęsna jej dola!... Nie pójdziesz do Boga w tych szmatach, co zostały kupione za twoją hańbę... I ubrał ją w jej dawne gałgany.

— Pochować cię nie mam za co, do morza nie rzucę, trumienki także nie stać mnie kupić dla ciebie, więc tu spoczniesz — w tej norze ciemnej, która nam mieszkaniem była...

Złożył tam zwłoki dziewczęcia. Krzyż z patyczków spoczął na piersiach zmarłej. Otwór nory założył kamieniami, zasypał ziemią — zmówił wieczny odpoczynek i zabierał dzieci, by odejść... Lecz to biedactwo zaczęło rzewnie płakać i boleśnie zawodzić:

— Tatulu — błagał Janek — odkopcie Hankę... tam nie ma chleba, ni wody — to ona zamrze...

— Hanuś, Hanuś — prosiła Marysia — chodź... nie ostawaj tu... daj mi chleba...

Ojciec porwał dzieci i ciągnął je za sobą, rzucając niejednokrotnie spojrzenie na *grób*, którego nigdy nie miał więcej zobaczyć.

Zaszedł do portu. Dzieciny ledwie przywlokły się za nim; wszyscy byli głodni, wycieńczeni.

— Co robić? — łamiąc ręce, pytał głośno wieśniak. — Zapracować nie można... Potopię dzieci... sam skoczę w morze... i raz się ta czarna dola zakończy...

Wziął oboje za ręce i szedł ku wodzie... Dzieci zaczęły kwilić, całować go i prosić błagalnie, tkliwie:

— Tatulu kochany, nie topcie nas!.. Woda taka wielka!... Ja się boję... tatulu!...

— Dajcie nam chleba .. — i wyciąga rączyny Marysia...

— Nie ma go, nie ma!... Dzisiaj i jutro nie będzie...

Jedno i drugie dziecko począł całować i mówił przez łzy:

— Nie, nie bójta się!... nie utopię was!... robaki moje, krew moja...

Niedługo miał odpłynąć okręt do Bremy...

— Boże — szeptał Stach spieczonemi usty — tam — heń, heń! za Bremą jest kraj mój najmilszy, moja ziemia, moi bracia, moja chata!... Lecz nie zabiorą człowieka bez zapłaty i jeszcze dwoje dzieci: choćby palce ssać z głodu, byle się dostać do swej ojczyzny.... i spocząć w swej ziemi święconej — na cmentarzu, kędy pod jodłami jest grób rodzica mego, matuli mojej!... Ha! wiem co zrobię!... Dzieci żyć będą... a ja za nich... będę miał grób pośród swoich...

(Dokończenie nastąpi.)



Przedruk wzbroniony).

MĘCZENNICA W KORONIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA ILLUSTROWANA.

33) ORYGINALNY PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO.

—.—

(Ciąg dalszy.)

Najdorodniejsi i najbogatsi młodzieńcy we wsi starali się o jej względy ,ale ona żadnego nie wybrała, serce nie odezwało się jeszcze! I teraz, jak błyskawica, wpadł promień miłości do jej serca, gdy ujrzała młodego i wytwornego oficera austryackiego. Wiedziała jednak, że ta miłość nie da jej wymarzonego szczęścia, bo chociażby Stanisław pokochał ją także, to ojciec przeklął by wyrodną córkę i wolałby ją zabić, niż pozwolić na zaślubienie Austryaka!

— Ale ja go uratuję, — szepnęła, — a jutro — ach jutro, już mnie tu nie będzie. Ojciec domyśli się prawdy i wypędzi mnie z domu — jak niewolnica będę musiała innym służyć. — — O mnie jednak nie chodzi! Ocalę tego, którego kocham i zawsze kochać będę!

Nie myśląc teraz już o gniewie ojca, chciała wyjść z stodoły i biegnąć do domu — gdy nagle otworzyły się drzwi, i mały Luigi wszedł z pakułami w ręku.

Naomi nie wiedziała, co to znaczy, i ukryła się za słomą.

Potem Luigi wyszedł, zatrzasnął drzwi, i słoma w jednej chwili stanęła w płomieniach.

Młoda dziewczyna zdrętwiała z przerażenia.

Najpierw zaczęła krzyczeć, ale wiedziała, że krzyku jej nikt nie usłyszy, tem więcej, że doszły ją teraz odgłosy trąb i bębnów.

Cóż to, żołnierze byli zbudzeni i bronili się? Co to miało znaczyć?

Ogień tymczasem rozszerzał się z przerażającą szybkością.

Naomi uciekła na wierzch sąsieku i przez otwór w nadpsutym dachu wyszła na płaski dach stodoły. Tu przynajmniej mogła oddychać, tutaj dym nie dusił jej i nie odbierał przytomności. Ale jak długo będzie tu mogła zostać?

Już pojedyńcze kawały łupku, rozpalone, spadały w ogień — jak prędko dosięgną płomienie miejsca, na którem ona stała!

Droga wiodąca do wsi, zapełnioną była mnóstwem ludzi. Żołnierze, wieśniacy, kobiety, dzieci, wszyscy biegli tu i tam, wskazując z oznakami przerażenia na dach palącej się stodoły.

Naomi domyśliła się, że chcą ją ratować, i że plan ojca wymordowania żołnierzy nie udał się. Widocznie nowe wojsko przybyło niespodziewanie do wsi!

Dach zaczął się teraz zwolna zniżać, a ratunek nie przychodził! Naomi przygotowała się na śmierć — uklękła na ostatnim kawałku dachu, i złożone ręce podniosła ku niebu!

Jeszcze tylko kilka minut, a dach cały musiał się zapadnąć.

Była to straszna chwila. Nieszczęśliwa Naomi nie krzyczała już — z cichą rozpaczą patrzała w płomień i namyślała się, czy nie lepiej wskoczyć w ogień i skończyć od razu męczarnie.......

— Trzymaj się! Idę po ciebie, — dał się słyszeć z dołu głos męzki.

Naomi poznała głos Maksymiliana Dorna.

Równocześnie rozległ się krzyk przerażający — nieludzki, i oczy wszystkich zwróciły się w stronę, z której pochodził. Naomi spojrzała także.....

Sześciu żołnierzy z dobytemi pałaszami prowadziło sołtysa Vranę, i on to krzyknął tak straszliwie, ujrzawszy jedyne dziecko na palącym się dachu.

Jak dziki zwierz zaczął się szarpać, rzucać i ryczeć!

— Moje dziecko! Moje dziecko! — krzyczał. — Ratujcie ją! Naomi, trzymaj się! Zerwię moje łańcuchy i pójdę po ciebie! O Allah! Allah, jak możesz na to pozwolić! Jak mogło się stać coś podobnego!

— Kazałeś sam zapalić stodołę, — odrzekł Maksymilian, — a córka twoja znajdowała się tam! Chciała ona ratować porucznika Kosińskiego i padła ofiarą własnej szlachetności!

Vrana spuścił głowę.

— Więc ja sam, — szepnął, — zabiłem moje dziecko!

— Ja ocalę ją! — zawołał Maksymilian. — Kazałem związać drabki — żołnierze będą je trzymać, a ja wejdę na dach i zabiorę waszą córkę .

— To niemożliwe! — zawołali żołnierze. — Budynek chwieje się — nie możesz iść — przecież to pewna śmierć!

Ale Maksymilian nie zważał na nic. Szybko i zręcznie wbiegł po drabce na dach, objął na w pół zemdloną dziewczynę i wrócił z nią szczęśliwie na dół.



Maksymilian wbiegł po drabce na dach, objął na wpół zemdloną dziewczynę i wrócił z nią szczęśliwie na dół.

W tej samej chwili rozległ się ogłuszający łoskot, dach cały zapadł się i płomienie buchnęły jeszcze wyżej ku niebu. Stodoła spłonęła do szczętu.

Przed wschodem słońca jeszcze zebrali się oficerowie pułku w domu sołtysa Vrany i pod przewodnictwem pułkownika Frascati odbyli naradę, w jaki sposób ukarać tego, który namawiał wieśniaków do zamordowania żołnierzy.

Stanisław Kosiński brał także udział w naradzie; kula Ramira zraniła go lekko, tak, że rana, dobrze zaopatrzona, żadnego mu nie sprawiała bólu.

Ale wojskowy lekarz stwierdził, że gdyby pugilares zaopatrzony w stalowy zamek nie był kuli wstrzymał, to młody oficer już by teraz nie żył!

Był to talizman Nelly, pugilares skórzany, a w nim zasuszona biała róża!

Pugilares ten ocalił mu życie, a raczej stalowy zamek, na którym się kula spłaszczyła.

— Kto strzelał do ciebie? — zapytał Frascati.

— Ja nie wiem. Był to jakiś młody jeszcze mężczyzna z czarną brodą!

Maksymilian domyślił się natychmiast, że mężczyzną tym był Ramiro.

Narady, co do ukarania Vrany nie trwały długo.

Jednogłośnie skazano go na śmierć przez rozstrzelanie.

Naomi nie mogła prosić o ułaskawienie ojca — w ciężkiej gorączce leżała biedna, nie wiedząc wcale, co się z nią

dzieje. I szczęście to było dla niej — nie była przynajmniej świadkiem tego, co się godzinę później działo.....

— Więc zamiarem waszym było, — zapytał Frascati oskarżonego, — wymordować wszystkich austryackich żołnierzy?

— Tak, ale ja sam jestem winnym! Ja namawiałem wieśniaków do tego, — odrzekł Vrana dumnie.

— Wiecie, że za to umrzeć musicie?

— Wiem, i nie lękam się śmierci! Ale zanim umrę — chciałbym was jeszcze o coś prosić......

— O co?

— Dajcie mi krzyż w rękę! I nauczcie mnie modlitwy do waszego Boga!

Słowa te wywarły na obecnych głębokie wrażenie.

— Co? — zawołał Frascati, — w ostatniej godzinie życia chcecie zmienić wiarę? Mówicie to na seryo?

— Tak, przysięgam! Gdy ujrzałem moją córkę w płomieniach, prosiłem Allaha, aby ją ratował, ale Allah nie wysłuchał mojej modlitwy. Wtedy w rozpaczy, zacząłem prosić waszego Boga o pomoc, i w tejże chwili zjawił się Maksymilian Dorn i ocalił moje dziecko od strasznej śmierci! Wasz Bóg wysłuchał mnie, i Jemu chcę oddać moją duszę! Od godziny jestem w sercu chrześcijaninem!

W oczach oficerów błysnęły łzy.

Frascati podniósł się teraz i rzekł uroczyście:

— Mikołaju Vrana, sąd wojenny skazał was na rozstrzelanie. Umrzecie, jak uczciwy żołnierz! Wyrok zostanie wykonany natychmiast. Dajemy wam pół godziny czasu do nauczenia się modlitwy!

Pół godziny później stał Vrana przed strzelbami dwunastu żołnierzy, spokojny i nieustraszony.

W rękach trzymał mały krzyż czarny i usta jego szeptały modlitwę.

Stanisław Kosiński stał z podniesioną szpadą. Gdy ją spuści, padną strzały i wyrok zostanie spełniony!

— Raz — zaczął Stanisław.

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie“ — modlił się głośno Vrana.

Stanisław zaczekał aż do końca pacierza, potem wyrzekł szybko słowa komendy i spuścił szpadę.

„Niech żyje Bośnia!“

To były ostatnie słowa Vrany.

Przeszyty dwunastu kulami, wyzionął ducha natychmiast, a w tejże chwili weszło słońce na niebie i pierwsze jego promienie padły na ciało gorącego patryoty.

Stanisław odsłonił głowę i cichy za duszę jego zmówił pacierz.

ROZDZIAŁ XLIX.

Uwolnienie Józefiny.

Cały tydzień przepędziła już Józefina w więzieniu, w którem ją na rozkaz hrabiego Barina zamknięto. Były to okropne dni trwogi i rozpaczy, i jedynie przeświadczenie niewinności podtrzymywało jej odwagę, i dodawało nadziei, że raz przecież musi się ta męczarnia skończyć.

Codziennie przesłuchiwano ją i badano — ale oprócz tego, że była córką łotra Hilberta, nie można jej było nic złego udowodnić. Na wszystkie zarzuty i oskarżenia odpowiadała Józefina zawsze to samo:

— Prawdą jest to, co hrabia Barin mówi, że rodzice moi są ścigani przez policyą. Czy słusznie, czy nie, tego ja osądzić nie mogę. Ale ja nie popełniłam nic złego!

Kapitan policyjny jednak nie wierzył jej zapewnieniom. Może Ramiro przekupił go, może obiecał mu się wystarać o inne, korzystniejsze miejsce, dosyć, że Józefina nie zdołała go przekonać o swej niewinności, i że miała stanąć przed sądem, jako oskarżona o wspólnictwo z rodzicami.

W Granicy rozeszła się lotem błyskawicy wieść o tem, że piękna Wiedenka ma być dziś sądzona, i mała sala sądowa była przepełniona publicznością.

Jednym z świadków był też gospodarz hotelu, w którym Józefina mieszkała. Hotelista nie wierzył, aby ta młoda i piękna kobieta miała być winną — ale hrabia Barin i Iwan Rozdzin świadczyli na jej niekorzyść i to wystarczało.

Sędziowie w Granicy byli źli, że dla takiej drobnostki muszą się tyle trudzić — podług ich zdania można było Józefinę trzymać bez wszystkiego parę tygodni w więzieniu, a potem uwolnić ją, i sprawa byłaby skończoną! Ale hrabia Barin żądał wyraźnie sądu i skazania jej przynajmniej na kilka lat więzienia!

Pomiędzy publicznością znajdowała się też stara Marta i wnuczka jej, Sagunta.

Marta patrzała na świadków oskarżających z głęboką nienawiścią, a usta jej szeptały straszne przekleństwa, ale Sagunta uspokajała ją jak mogła.

Gdy sędziowie weszli, zapanowała na sali głęboka cisza.

Posiedzenie rozpoczęło się i przewodniczący kazał wprowadzić Józefinę.

Publiczność była zachwycona jej urodą, skromnością i wytwornemi ruchami.

— Jaka ona blada, — szepnęła Marta. — Zamęczą ją, zamordują, ale nie chodzi im o życie człowieka!

— Bądź cicho, babko, — prosiła Sagunta. — Jeżeli Józefina zostanie skazaną, wtedy wiemy, co czynić!

— O tak!

W tejże samej chwili wszedł na salę jakiś wysoki mężczyzna i usiadł tuż obok starej Marty i Sagunty.

Słuchał on uważnie aktu oskarżenia, i żadne słowo, nie uszło jego uwagi.

Przewodniczący czytał, że Józefina Hilbert oskarżoną jest o kradzież. Pod obcem nazwiskiem zamieszkała z jakimś nieznajomym mężczyzną w hotelu w Granicy, i zamierzała pewnie popełnić tam kradzieże, tak jak to uczyniła w Osternie, gdzie z zamkniętego domu Iwana Rozdzina zabrała szkatułkę z złotem i banknotami. HrabiaBarin i Rożdzin sami gotowi są zaprzysiądz prawdziwość tego ich zeznania!

Józefina słuchała, jak nieprzytomna.

— Masz pani adwokata? — zapytał sędzia.

— Nie!

W takim razie sąd go pani wyznaczy.

Sędzia szepnął kilka słów jakiemuś bardzo młodemu koncipientowi i tenże zbliżył się zaraz do Józefiny.

— Ja będę panią bronił, — rzekł. — Nie znam wprawdzie wcale sprawy pani — trzeba ci się było zawczasu postarać o adwokata! Czy nie wiedziałaś o tem?

— Ja wiem tyle tylko, że jestem niewinną, -- zawołała Józefina.

Posiedzenie odbywało się teraz niezmiernie prędko, sędziom pilno było na wspaniałe śniadanie, na jakie ich hrabia Barin zaprosił. Rozdzin i hrabia przysięgli, że widzieli oskarżoną, uciekającą z domu Rozdzina do lasu, i sędziowie uwierzyli im!

Daremnie zapewniała Józefina, że jest niewinną, daremnie zeznał hotelista, że oskarżona niczego w domu jego nie ruszyła, że zapłaciła wszystko rzetelnie, daremnie powtarzał obrońca, że dowodu winy nie ma, Józefina została uznana za winną, i skazaną na trzy lata ciężkiego więzienia!

Józefina załamała ręce.

— Jestem niewinną! Jestem niewinną! — powtarzała z rozpaczą.

Po przeczytaniu wyroku zapytał przewodniczący sucho.

— Oskarżona, uznajesz ten wyrok?

— Nie!

Ale nie Józefina wymówiła to słowo, tylko nieznajomy mężczyzna, siedzący obok starej Marty. A zbliżywszy się teraz do Józefiny, położył rękę na jej ramieniu i rzekł głośno.

— Nie obawiaj się niczego, Józefino Hilbert! Jeszcze istnieje sprawiedliwość w Austryi!

Sędzia poczerwieniał z złości i uderzył pięścią w stół tak silnie, że papiery pospadały na ziemię.

— Kto pan jesteś? — krzyknął. — Jak śmiesz wtrącać się w nasze sprawy? Każę cię natychmiast aresztować!

— Oho, nie tak prędko! Wyrok na Józefinę Hilbert zostanie skasowanym, ja tak chcę! Skazaliście ją bez udowodnienia winy — widzę, że tu, na ostatecznym krańcu Austryi pozostawia sądownictwo wiele do życzenia.

— Czyś pan oszalał? — krzyczał sędzia. — Kto jesteś?

— Jestem ministrem sprawiedliwości, — odrzekł nieznajomy, odpinając paletot, pod którym, na czarnym surducie, wysokie widniały ordery.

Sędziowie spuścili głowy, żaden z nich nie śmiał spojrzeć na najwyższego przełożonego!

Minister tymczasem wziął akta Józefiny i wsunął je do kieszeni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Żywcem pogrzebany.

Powieść z włoskiego.

21) Tłomaczyła P. Otrys.

(Ciąg dalszy).

— Gdyby to doprawdy było szczęściem pana hrabiego, tobym się cieszył!

— Jakto, więc wątpisz o tem?

— Pan hrabia nie wygląda na szczęśliwego człowieka, — odpowiedział otwarcie.

— Mylisz się, Wincenty! Jestem bardzo zadowolony, czegóż mi jeszcze potrzeba? Ale dosyć o tem! Mam pewne dla ciebie polecenie. Jutro na wieczór pojedziesz do Avellino!

— Do Avellino? — powtórzył zdumiony.

— Tak, czy to coś tak dziwnego? Wręczysz list pani Monti, i zostaniesz tam, dopóty, dopóki znowu cię nie wezmę do siebie. Nie potrwa to zbyt długo, tymczasem staraj się o względy Lilli!

— Ale ja muszę jeszcze rzeczy zapakować.....

— Możesz to dziś uczynić! Ja chcę koniecznie, abyś jechał do Avellino i oddał to pudełko pani Monti! Cóż to, masz mi jeszcze co do powiedzenia?

— Ach! — zawołał ze łzami w oczach, — ja się tak boję o pana hrabiego! Wiem, że pan hrabia cierpi, że nie jest szczęśliwym! Nie odsyłaj mnie! Ta piękna pani nie da Ekscellencyi spodziewanego szczęścia! Ona nie ma serca!

Byłem szczerze wzruszony słowami jego, ale udawałem, że mi było nieprzyjemnie słuchać jego uwag.

— Żal mi, że się tyle o mnie kłopocesz, — odrzekłem chłodno, — tem więcej, że wszystko to jest zbyteczne. Jestem bardzo szczęśliwy i życzę ci, abyś i ty znalazł szczęście w miłości Lilli! Pojedziesz jutro!

— Jak pan hrabia każe, — westchnął Wincenty.

— I oddasz to pudełko pani Monti.

— Dobrze!

Wincenty udał się do swego pokoju, na moje także życzenie, ja zaś poszedłem na cmentarz, do grobowca moich przodków i przygotowałem tam wszystko, co było potrzeba — na jutro!

Myśl o ostatniej scenie dramatu dodawała mi odwagi i siły. A może to tylko komedya?

W każdym razie mało pewnie narzeczonych przepędza ostatnią noc przed ślubem w grobowcach!

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY.

Nazajutrz prześliczna była pogoda.

O naznaczonej godzinie spieszyły całe tłumy do katedry, aby zapewnić sobie najlepsze miejsca, inni zamówili już poprzednio krzesła, i tak była kaplica prawie przepełniona. O w pół do jedenastej pojechałem z moim drużbą, księciem Marina do kościoła.

Nikt nie byłby dziś poznał we mnie człowieka, który wczoraj w nocy przepędził kilka godzin w grobowcu!

Byłem nadzwyczaj wesoły, i byłbym się najchętniej śmiał głośno, krzyczał i śpiewał. Rozmowa moja tchnęła taką złośliwością i szyderstwem, że książę spojrzał kilka razy zdumiony na mnie, jak gdyby chciał powiedzieć, że dziwnie się zachowuję w dniu ślubu!

Przed kościołem leżał kosztowny czerwony dywan — nad tem jedwabny baldachim, po obydwóch zaś stronach stały palmy olbrzymie.

Słyszałem rozmaite uwagi co do mego bogactwa i miłosierdzia względem biednych, a jakaś stara, odrażająco brzydka kobieta zawołała głośno.

— Ach, biedny człowiek! On nie ma dosyć pieniędzy na nasycenie tych małych, czerwonych ust, które pożerają złoto jak maccaroni i śmieją się z nędzy i cierpień ubogich! Szkoda go!

Książę obrócił się przestraszony, ja zaś udawałem, że nic nie słyszałem.

Gdy stanąłem przed ołtarzem, zawahałem się jeszcze. Obrazy świętych zdawały się ożywiać i pytać mnie:

— Musisz się pomścić, koniecznie? Nie możesz wybaczyć?

— Nie, nie mogę, — odpowiadał jakiś głos wewnętrzny, — chociaż bym miał iść za to do piekła!

Chrystus na krzyżu patrzał na mnie z łagodnym wyrzutem, jak gdyby chciał mówić:

— O zaślepiony, czy nie wiesz, że i ty jesteś grzesznikiem? Gdzie znajdziesz pociechę w twej ostatniej godzinie?

I znów głos w sercu odrzekł:

— Ja chcę mieć tylko pociechę dokonanej zemsty! Raz tylko musi zdradziecka kobieta zostać ukaraną, raz tylko ma być wymierzoną sprawiedliwość!

Przed pięciu laty stałem także tutaj, obok mnie Gwidon.

Jakież inne uczucia przepełniły wówczas moje serce. Ale nie chcę już tych dwóch dni porównywać.

O jedenastej usłyszałem szelest jedwabnej sukni obok siebie — obróciłem się i ujrzałem moją żonę. Wsparta na ramieniu barona Maucini szła lekko i zgrabnie, jak zawsze, a szmer uwielbienia dał się słyszeć w około.

Biały, miękki aksamit spływał w długim powłoku na ziemię, biała koronkowa zasłona otaczała całą jej postać, a we włosach i na staniku lśniły klejnoty, które jej ofiarowałem. Najmłodszy syn księcia, śliczny chłopiec w stroju pazia niósł jej powłok, małe dziewczynki sypały przed nią róże i lilje — jednem słowem, wszystko było wybornie obmyślone i znakomicie wykonane.

Teraz rozpoczęła się ceremonia ślubna. Nina zachowywała się wzorowo. Modliła się szczerze, wznosiła oczy ku niebu i pochyliła głowę z taką pokorą, że aż ksiądz zdawał się być wzruszony.

— Jeżeli ja pójdę do piekła, — myślałem, patrząc na nią, — to ona chyba trzy razy na nie zasłużyła.

Nareszcie skończyło się wszystko! Nina była po raz drugi moją żoną — oparła się na mojem ramieniu i razem już wyszliśmy z kościoła. Jakaś młoda dziewczyna rzuciła mi, śmiejąc się, pęk czerwonych róż przed nogi — ale były to takie same róże, jak ta, którą owego pamiętnego wieczora miał Gwidon.

Uniesiony wściekłym gniewem podeptałem kwiaty.

— Czemu? — szepnęła Nina, wskazując oczami moje dzieło zniszczenia.

— Nie cierpię czerwonych róż, — odpowiedziałem, — zdaje mi się zawsze, że to krew.

— Jak możesz mówić coś podobnego!

Po obiedzie rozstaliśmy się na kilka godzin, aż do balu, który miał się rozpocząć o dziewiątej. Nina twierdziła, że musi jeszcze niejedno przygotować do podróży, a ja śmiałem się w duszy! Co ona powie na naszą podróż!

Teraz przedewszystkiem musiałem wysłać Wincentego. W pudełko, przeznaczone dla pani Monti włożyłem dwanaście tysięcy franków.

Było to ostatnim moim dobrym uczynkiem. Za owe pieniądze mógł Wincenty kupić małe gospodarstwo i ożenić się z Lillą — i tym sposobem mieli oboje szczęście zapewnione.

Pamiętałem o wszystkich tych, którzy mi jakąś życzliwość okazali — Assuncie posłałem także kilka tysięcy franków — jednem słowem nie zostawiłem nikogo z próżnemi rękami. Skończyłem z przeszłością i teraźniejszością, i jedno tylko pozostało mi jeszcze do załatwienia — jedno, najważniejsze.....

I znów zabrzmiały mi w uszach słowa tandeciarza:

— Idź i zabij ją!

ROZDZIAŁ SZESNASTY.

Bal rozpoczął się.

Nawet na dworze królewskim nie mogło być większego przepychu — a towarzystwo odpowiadało urządzeniu. Byli tam książęta, ministrowie, najwyżsi dygnitarze i najpiękniejsze kobiety, najpiękniejszą jednak z wszystkich, królową całego zgromadzenia — była Nina!

Na widok jej uderzało mi mocniej serce i krew gorę-

cej płynęła w żyłach — była ona świeżą, jak kropla rosy, zachwycającą i pewną siebie, jak czarodziejka z baśni. Białe koronki otaczały jej prześliczną postać, na szyji miała perły Carmela, włosy zaś podtrzymywał złoty grzebień w kształcie korony o brylantowych promieniach.

Nina olśniewała wszystkich!

Tyle piękności, a serce....

Była to okropna noc. Nie zapomnę jej, chociażbym żył tysiąc lat!

— Musisz tańczyć Cezary, — zawołała Nina, budząc mnie z zamyślenia, — naszym obowiązkiem jest rozpocząć bal.

— Nie wiem, czy tańczenie ze mną sprawi ci przyjemność!

— Ach, staraj się, abyś ładnie w tańcu wyglądał! Nie wybaczyłabym ci nigdy, gdybyś walca nie umiał!

Objąłem ją ramieniem, starając się nie patrzeć na nią, bo z trudnością zdołałem jeszcze panować nad sobą. Nienawiść i miłość ciężką w sercu mem staczały walkę, chwilami zdawało mi się, że stracę rozum.....

Tańczyłem z nią długo. Melodya i rytm walca upajały mnie — trzymałem mocno jej drobną rączkę, a ona odwzajemniała mi uścisk, i podniosła ku mnie swe śliczne, ciemne oczy.

— Kochasz mnie teraz, Cezary, szepnęła z uśmiechem.

— Tak, tak! — odpowiedziałem jak nieprzytomny.

— Nareszcie! Ach, ja byłam pewną zwycięstwa!

— Tak jest, zwyciężyłaś mnie zupełnie! Dla twej miłości stałem się innym człowiekiem!

— Jakto, innym?

— Wydawałem ci się starym — dziś stanę się znowu młodym — przeszłość moją, dawno pogrzebaną, odświeżę, — uczynię dla ciebie to, o czem wcale nie myślisz, czego się wcale nie spodziewasz.....

Nina słuchała z rozkosznym uśmiechem i przytuliła się do mnie, jak pantera, która uśmierca swe ofiary cicho, nieznacznie — i wypija z nich krew serdeczną.....

Po skończonym walcu odprowadziłem Ninę na miejsce. Jeden z książąt zbliżył się zaraz do niej i poprosił do następnego tańca, a ja korzystając z tego pobiegłem do mego pokoju ,aby zobaczyć, czy Wincenty już odjechał.

— Odjechał, — rzekł mi jeden z moich lokaji, — ja sam odprowadziłem go na kolej i co dopiero wróciłem.

Teraz byłem sam. Ostatnie wierne serce opuściło mnie na zawsze!

Byłem sam z moją ofiarą.

Wracając na salę balową, ujrzałem idącą ku mnie młodą i piękną dziewczynę, córkę jednego z najbogatszych arystokratów neapolitańskich.

— Jaki cudowny bal, — zawołała z wesołym uśmiechem. — Wiesz pan że poraz pierwszy jestem na balu?

— Bawisz się pani dobrze? — zapytałem.

— Bawić się — to za mało! Jestem oczarowana! Ach, gdyby wieczór dzisiejszy nie chciał się skończyć! Do dziś dnia nie wiedziałam wcale, że jestem ładną!

Mówiła to z tak naiwną radością, że mimowoli musiałem się rozśmiać.

— Powiedziano to pani dziś dopiero?.— rzekłem.

— Tak, Jego Wysokość książę Majano! Mówił, że jestem najładniejszą z panien na balu!

— Ale moja żona jest piękniejszą!

— No, naturalnie! Z nią się żadna równać nie może! Jaka toaleta, jakie brylanty i perły! Chciałabym chociaż trochę być do niej podobną!

— Niech Bóg broni! Proś pani Boga codziennie o to, abyś się nigdy podobną do niej nie stała!

Młoda dziewczyna spojrzała na mnie tak, jak gdyby wątpiła o moich zdrowych zmysłach.

— Nie, nie — zawołałem, — ja tylko żartuję! Nina jest chodzącą doskonałością!

I odszedłem spiesznie.

Kolacya miała być o dwunastej. Spojrzałem na zegarek — dochodziła jedenasta.

Godzina zemsty!

Serce uderzało mi jak młotem — krew mózg prawie zalewała. W uszach szumiało mi tak, że chwilami nic nie słyszałem — to jedno stało mi tylko wyraźnie przed oczami: Oczekiwana godzina nadeszła! Nareszcie! Nareszcie!

— — — — — — — — — — — — — —

Zbliżyłem się do Niny.

Oparta z wdziękiem na aksamitnym fotelu rozmawiała wesoło z księciem Majano — i słuchała z widoczną przyjemnością jego komplementów. Gdy mnie ujrzał nadchodzącego, cofnął się natychmiast.

— Nino, — szepnąłem, — przypominam ci twoje przyrzeczenie.

— Ach, drżę z niecierpliwości wypełnienia go. Powiedz mi tylko, jak i gdzie i kiedy?

— Teraz — w tej chwili! Przypominasz sobie małe boczne drzwi, któremi wyszliśmy dziś z kaplicy?

— Tak!

— Oczekuj mnie tam za dwadzieścia minut. Trzeba nam wyjść tak, aby nikt tego nie zauważył. Weź ciepłe okrycie!

— Wezmę płaszcz sobolowy! Czy droga jest daleka?

— Nie!

— Ale na kolacyą wrócimy?

— Tak!

— Ach, jak to romantycznie, — zawołała uradowana. — Przechadzka z tobą o świetle księżyca! Czy księżyc jasno dziś świeci?

— Zdaje mi się!

— Jestem na wszystko gotowa! W dwudziestu minutach będę przy drzwiach — tymczasem przetańczę jeszcze polkę z markizem Gualdro.

I lekka, powiewna, jak rusałka, zwróciła się do markiza, i zaczęła z nim tańczyć.

Ja poszedłem do mego pokoju i stanąłem przed lustrem.

Koloru włosów nie mogłem co prawda zmienić, ale szybko zgoliłem długą brodę i zostawiłem tylko wąs, tak jak go dawniej miałem. Okulary zdjąłem także, i jedynie z różnicą koloru włosów byłem znowu młodym i silnym Fabiem Romani. Każdy dawniejszy znajomy byłby mnie od razu poznał.

Potem włożyłem sztylet do kieszeni.

Oprócz tego wziąłem wszystkie dowody mojej tożsamości to jest portmonetkę, medalion z fotografiami Niny i Stelli, kartki wizytowe i srebrny krzyż, który mnich dał mi do trumny.

Zresztą rozbita trumna najlepszym była dowodem.

Listy Niny do Gwidona, które mi przysłał markiz d'Avencourt włożyłem także do kieszeni.

W mieszkaniu mojem nie zostawiłem nic, coby mogło naprowadzić ludzi na mój ślad i wyjaśnić obecne postępowanie. Potem zmieniłem ubranie — wziąłem codzienny surdut i długi płaszcz neapolitański.

Jeszcze jedno spojrzenie w lustro.

I wybiegłem! Hrabia Ogilva przestał istnieć — Fabio Romani zmartwychwstał!

Przed kaplicą jeszcze Niny nie było — z sali balowej dochodziły mnie dźwięki muzyki — słodkie — ciche — noc była cudowna, jasna i ciepła, — ach, pięknem jest życie i świat! — —

Nagle zaszeleściała suknia i Nina stanęła koło mnie.

— Wybacz! — zawołała bez tchu nieomal, —spóźniłam się trochę! Musiałam ostatniego walca tańczyć do końca! Szkoda, że nie mogłam go tańczyć z tobą!

— I ja żałuję! Nie widział cię nikt wychodzącą z sali?

— Nie, wysunęłam się do mego pokoju tak zręcznie, że nikt tego nie zauważył. Potem zarzuciłam płaszcz, wyszłam bocznemi drzwiami z hotelu, gdzie też mnie nikt widzieć nie mógł, i otóż jestem!

— Bardzo dobrze! Garderobiana odprowadziła cię pewnie.....

— Ale gdzież tam! Ona o niczem nie wie! Siedzi pewnie w kuchni i bawi się z kelnerami!

Odetchnąłem swobodnie. Nikt nie wiedział, dokąd idziemy, na tem bardzo mi wiele zależało!

Wziąłem teraz Ninę pod rękę i skinąłem na przejeżdżającego dorożkarza.

— Do villi Guarda! — zawołałem.

— Gdzie to jest? — zapytała Nina. — Ja myślałem, że pójdziemy pieszo!

— Zmęczyłabyś się zanadto! Villa Guarda zaś — jest stary budynek, leżący blizko miejsca, w którem są ukryte moje skarby!

Nina usiadła obok mnie.

(Dokończenie nastąpi).

KRONIKA.

Jeden lubi wiosnę, drugi przepada za jesienią — jest to tak samo, jak bym powiedział, jeden woli córki, drugi matkę, bo wiosna to dziewicza krasa, a jesień to dojrzały owoc. I ja lubię jesień, gdyby chciała skreślić z swego programu mgły a darzyła nas dniami słonecznemi. Lecz nie można żądać niepodobieństw, albo przynajmniej nieprawdopodobieństw. A jednak takie nieprawdopodobieństwa są bliskie. Czyż przesławny Przemysław Wielki, książę Poznański a później król polski kiedykolwiek pomyślał, że jego gród stanie się kiedyś rezydencyą następców onych margrabiów brandenburskich, którzy tak okrutną a podstępną śmierć mu zgotowali w Rogoźnie, nasyłając nań najętych zbójów? Poznań ma stać się za lat kilka jedną z rezydencyi królów pruskich, tak głoszą nieurzędowo i półurzędowo. Owoc wprawdzie nie dojrzał, nie wyszedł po za fazy pierwsze rodzenia, lecz podobno już są pierwsze zawiązki uszczęśliwiającego Poznań projektu. Opuszczam ten owoc niedojrzały, a zwracam się do dojrzałych owoców, których piękny zbiór widziałem na wystawie owoców, urządzonej staraniem Towarzystwa ogrodniczego w Domu Katolickim. Duszą tej wystawy był pan Marciniec, tutejszy ogrodnik. Pan Marciniec jest przemysłowcem, który nie tylko stara się o dorobek dla siebie, ale chciałby również, aby kunszt, któremu się z takiem zamiłowaniem oddał, podniósł się i rozwinął. Więcej takich! Wystawa owoców dowiodła, że w wielu ogrodach nie tylko pańskich, lecz także włościańskich umiejętnie się prowadzi drzewa owocowe. Były na tej wystawie nawet okazy winogron. Dostarczył ich ogród z Gołuchowa. Winogrona Malaga były wprost niezrównane.

Owocem jesieni są nie tylko wystawy owoców, ale także herbatki z tańcami i bez tańcy, z małym, niewinnym flirtem i bez niego, z lekkiem ostrzeniem języków na najdroższych bliźnich i bez tego. Do tych wieczorków, które odbyły się z tańcami, lecz bez flirtu i ostrzenia języków, zaliczam herbatę na rzecz Żłóbków, która się odbyła na białej sali Bazaru ostatniej niedzieli. Był bufet, była tombola, były urocze Poznanianki z posagami i bez posagów, były fraki i lakierki, była młodzież z łysinami i bez łysin i był humor i swoboda, czyli bawiono się dobrze, lubo publiczności mniej się zgromadziło, niż się spodziewano.

Tej znowu soboty mamy dwa zajmujące.... przedstawienia. Przedstawienia?? Źle się wyrażam przedstawienie będzie jedno w teatrze polskim. Ujrzymy na scenie naszej dramat p. Krzyżanowskiego „Nerwy i Miłość", o którym pewno wasz krytyk da na przyszły tydzień recenzyą i tego samego dnia odbędzie się obiad, urządzony rokrocznie przez Tow. Przemysłowe — Stary Przemysł — i to w Domu Przemysłowym. Obiady te odznaczają się tem, że jest nie dużo potraw, więc są tanie, ale za to krasi je potok mów zawsze szczerych i wylanych. *Alfa.*

Hen, w mazurskiej wiosce mojej...

Hen w mazurskiej wiosce mojej,
Tam gdzie Wisła w dal przepływa,
Cicha wierzba smętna stoi,
Pochylona, płowo-siwa.

Gdy czas nocy najdzie głuchy,
Księżyc błyśnie na wód toni,
Z wód powstają senne duchy,
Płyną, idą, suną do niej.

Ponad srebrną wód głębiną
Kroczą duchów korowody,
Pieśni tęskne, ciche płyną,
Hen, na sioła, z biegiem wody.

Jasny, biały blask miesiąca
Srebrzy wierzbie płowe sploty,
Stoi ona cicha, drżąca,
Zasłuchana w pieśń tęsknoty.

Nad srebrzystą tonią fali,
W cichej, smętnej wód ustroni
Pieśń się w hymnie duchów żali,
Tam gdzie wierzba łzy swe roni.

Jasny dzionek z za chmur świta,
Ozłacając dal nadrzeczną,
Pieśni duchów wierzba chwyta
W pierś marzącą i serdeczną.

Gdy lud wierzbie kosę zetnie,
Pieśń zaklęta w łono drzewne,
Wnet ożywia grajka fletnię,
Wywołując tony rzewne.

Władysław Karoli.

✝

NEKROLOGIA.

Śp. ks. Józef Berkowski,

proboszcz w Konojadzie pod Kościanem, umarł dnia 3-go z. m. jako prawdziwy żołnierz Chrystusowy na posterunku, bo umarł nagle podczas nabożeństwa różańcowego, odprawianego wieczorem w kościele przed Najświętszym Sakramentem. Nieboszczyk urodził się 1839-go roku, święcenia kapłańskie otrzymał w r. 1865, dawniej był proboszczem w Odolanowie, a od 1886-go roku pasterzował w Konojadzie.



Ś. p. ks. Józef Berkowski.

Zmarły był gorliwym kapłanem, dla swoich konfratrów zawsze wylanym i chętnym. Brał też żywy udział we wszystkich sprawach społeczno-narodowych, a między innemi był założycielem Kółka rolniczego w Konojadzie. Przez całe życie pracował gorliwie i niestrudzenie dla Boga i bliźnich, to też zjednał sobie wszelką miłość i szacunek u wszystkich, a zwłaszcza u parafian. R. i p.

* * *

Śp. ks. Józef Ołyński,

dziekan i radzca, proboszcz koźmiński, umarł dnia 6 go b. m. w Koźminie po długich i ciężkich cierpieniach, przeżywszy 67 lat. R. i p.

* * *



Śp. Teofil Degórski,

zasłużony obywatel, umarł w Buku, dnia 6 go b. m. w 62-gim roku życia. Nieboszczyk brał żywy udział we wszystkich społeczno-narodowych sprawach, piastował rozmaite honorowe urzędy, a między innemi był dyrektorem Banku ludowego, prezesem Sokołów, założycielem i długoletnim prezesem Towarzystwa Przemysłowego, radzcą miejskim i członkiem magistratu w Buku. W zmarłym straciliśmy gorliwego czytelnika „Pracy." Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy!

Wiadomości.

— ***Manuskryptów nie zwracamy, nie przyjmujemy za nie żadnej i to żadnej gwarancyi, choćby były przysłane w liście zastrzeżonym (rekomendowanym). Kto więc do naszej Redakcyi przysyła manuskrypty, traci wszelkie prawo do zwrotu manuskryptów, a dalej w razie zagubienia manuskryptów traci też prawo do wszelkiego za nie odszkodowania, i to choćby interesent takowe sobie wyraźnie zastrzegł.***

Redakcya i wydawnictwo „PRACY."

— **Bławaty**, folwark pod Strzelnem, rozparcelowała firma *Drwęski i Langner* pomiędzy swoich, tak samo jak Proszyska i Wojcin.

Główny folwark Bławaty, w obszarze 650 mórg, nabył od firmy Drwęski i Langner p. Ludwik Jasiński, znany i zasłużony obywatel z Chełmży. Przewłaszczenie już nastąpiło. Nabywcy Szczęść Boże!

— **Z teatru**. Świeżo wznowiono na scenie naszej z wielkiem powodzeniem piękną komedję K. Zalewskiego p. t. „Nasi zięciowie". Rzecz dzieje się w Warszawie na tle intryg i powikłań t. zw. polskich salonowych żydów warszawskich, którzy za pieniądze dawane córkom w posagu kupują dla siebie zięciów, a dla córek mężów ze światka hrabiów, książąt itp. brukowców warszawskich, mających prócz tytułu tylko płótno w kieszeni. Tło komedji jest bardzo dosadnie, przeplecione ostrą, gryzącą satyrą. Typy osób są wyborne, a treść sztuki, napisanej z niemałą siłą dramatyczną, bogata.

Artyści wywiązali się z zadania swego znakomicie, mianowicie za dobrą grę zasługują na wyróżnienie pp. Poleński (Limburg), Sowiński (Stockfindel), Czerniak (Finger), Dobrzański (Pimbeche), Ryszkowski (Dortmund), Stradiot (Żelski) i Wiślański (książę Roman), oraz panie Królikowska (hrabina Gabryela), Podgórska (Elżbieta), Micińska (Zofia). Panie Jeremi (Marya) i Sznage (Eleonora) grały starannie. Wystawa była wspaniała.

W sobotę dnia 15-go bm. wystawi teatr jako premierę sztukę dramatyczną w 5-ciu aktach p. t. „Nerwy i miłość." Jest to pierwszy utwór dramatyczny naszego współobywatela, malarza-artysty, p. Kazimierza Krzyżanowskiego.

W niedzielę po południu zawsze ciekawa i efektowna komedya ze śpiewami „Staroświeczczyzna i postęp czasu", po cenach do połowy zniżonych.

Wieczorem po raz drugi „Nerwy i miłość".

Na wdowę po nauczycielu otrzymaliśmy od pana Marcina Folarzyńskiego z Wągrówca 3 mk. Dotąd na ten cel złożono 4 m. 50 fen. Dalsze datki chętnie przyjmujemy.

— **Wobec zbliżających** się świąt Bożego Narodzenia oraz „Gwiazdki", w której tak ważną rolę odgrywają pierniki, przypominamy Czytelnikom naszym polską renomowaną fabrykę pierników p. A. Markiewicza w Kostrzynie. Wyroby tej fabryki nie ustępują w niczem sławnym piernikom toruńskim. Żądajmy wszędzie pierników A. Markiewicza z Kostrzyna i zważajmy dobrze na opakowanie, aby nam nie sprzedawano — pierników hakatystycznych!

— **Otwarcie interesu.** Rodak nasz, pan Wacław Michałowski, otworzył w Opolu na przedmieściu Odrzańskiem, przy placu Wrocławskim nr. 10. interes artykułów drogeryjnych, chirurgicznych, farb i chemikalii pod firmą: „Centralna Drogerya". Szanownym Czytelnikom zwracamy baczną uwagę na ogłoszenie zamieszczone w nr. 45. „Pracy" i zasyłamy rodakowi staropolskie: „Szczęść Boże!"

Zegrze pod Poznaniem 10. listopada 1902. Nieruchomość p. Franciszka Banacha tu ztąd Żegrze Nr. 68 i 94 przeszła w drodze zamiany na Bank Parcelacyjny w Poznaniu, ul. Wiktoryi Nr. 12. Banach objął gospodarstwo w obszarze przeszło 100 mórg w Kotowie zaraz, bo przewłaszczenie zamienionych nieruchomości zeszłej soboty nastąpiło. W Żegrzu będą grunta leżące ku Goraszewu rozparcelowane, a parcele we wsi będą pojedyńczo sprzedawane. Na jednej z ostatnich, ponieważ jest gruby pokład gliny, ma stanąć ogromna cegielnia.

— **Czempiń**. W mieście naszem odbędzie się dnia 16-go bm. na sali p. W. Szukalskiego koncert orkiestry pod dyrekcyą p. L. Durczykiewicza. Program wielce urozmaicony. Początek o godz. 7-ej wieczorem. Dochód przeznaczony dla Towarzystwa pań św. Wincentego w Czempiniu. Po koncercie zabawa z tańcami.

— **Gniezno**. W grodzie naszym odbędzie się dnia 16 bm. na sali p. Gawla teatr amatorski. Program doborowy. Początek przedstawienia o godz. 7½ wieczorem. Dochód przeznaczony na żłóbek. Po przedstawieniu zabawa z tańcami.

— **Żnin** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu: pp. F. Chojnacki z Nowejwsi podgórnej 4 m., A. Sobczak i St. Walczak po 1 m., K. Reszel i K. Biodrowski po 1 m., F. Goliński i St. Kowański po 50 fen., wszyscy z Rauxel p. Dortmund, M. Janowiak z Brzyskorzystwi 5 m.., J. Motylewski i J. Wysogródzki z Chełmży po 3 m., R. i J. Wierzchowscy 7 m. 70 fen., A. Wójciak z Biskupina, M. Rybarczyk z Sosna po 3 m., Malicka z Torunia 2 m., za pośrednictwem T. Kopińskiego z Gocanowa 62 m. 71 fen., L. S. z K. i M. Płazalska z Żnina po 3 m., za pośrednictwem „Kuryera Poznańskiego" 11 m. 80 fen., T. Igła z Kruszwicy 3 m., W. Ciesielski z Trzeciewca 5 m., Wiśniewski, Pubanz, Kędzierski i Kaszubek z W. Kłoni 4 m., Roman Wierzchowski z Jeżyc przegrane w zakład 3 m.

„Bóg zapłać!" Kto da jeszcze?

Nie żałujcie grosza, dobrzy ludzie, na świątynię pańską!

X. Władysław Jasiński,
administrator.

— **Lubcz pod Rogowem**. Na kościół w Lubczu nadesłali w dalszym ciągu: X. prob. Fiebig z Jarząbkowa 20 mrk. p. p. Marya Karge z Gniezna 3 m. J. Wiśniewski z Gniezna 3 m. J. Smyczyński z Poznania 10 m. Na weselu Borowskich w Cotoniu 12 m. Kary ludzi dominialnych z Kamieńca pod Trzemesznem 7 m. pp. Fr. Gramza z Godów 1 m. Robowski, adwokat z Żnina, 20 m. A. Kwiatkowski profesor z Leszna 10 m. J. Dominik z Popowa 3 m., Fiałkowska z Tworzykowa 6 m. Za pośrednictwem p. Przykuckiej, zelatorki z Pomarzanek 11,75 m. J. Frost z Piaseczna 3 m. NN. z Cerekwicy pod Żninem 3 m. St. Pfitzner z Poznania 10 m. T. D. z Celle 3 m. J. Gruszczyńska z Inowrocławia 10 m' Od matki chrześciańskiej z Mogilna 2,90 m. Marta i Jadwiga Płaczek z Sadków 8 mk. Za pośrednictwem A. i P. Jankowskich z

Kruszewni 18 m. L. Kowalska z Kiszewka 9 m. Składając serdeczne „Bóg zapłać!“ proszę o dalszą pamięć łaskawą.

Ks. Czerwiński.

Ruch w Towarzystwach.

— **Z miasta**. Tutejsze Towarzystwo „Moniuszko“ urządza w niedzielę, dnia 16. bm. obchód na uczczenie 30-ej rocznicy śmierci Moniuszki według następującego programu:

Przed południem.

1. O godz. 8 rano, msza św. za duszę mistrza w kaplicy Pana Jezusa ul. Żydowska. 2. O godz. 10 i pół na wielkiej sali Lamberta (Piekary-Apollo) powitanie delegatów i gości, poczem wspólne śniadanie. 3. Uroczyste posiedzenie, wśród którego rozdzielanie pamiątkowej książki Moniuszkowskiej i wolne głosy delegatów.

Po południu:

O godz. 3. wspólne zwiedzenie Muzeum imienia Mielżyńskich, a wieczorem o godz. 7. wieczornica.

— **Z miasta**. Wieczornica Towarzystwa śpiewackiego „*Lutnia*“ odbędzie się 30 bm. Nie wątpimy, że sympatyczne zawsze występy Towarzystwa cieszyć się będą poparciem jak najszerszych kół, tem więcej, że program bardzo jest urozmaiconym. Celem zapewnienia sobie korzystnego miejsca, polecamy nabycie biletów w cenie: 3, 2, 1 i 0,50 mr., u firmy A. Rose.

— **Dziembowo pod Piłą**. W niedzielę, dnia 28 września, zawiązało się u nas „Towarzystwo katolickich robotników“. Zaraz na pierwszem posiedzeniu przystąpiło do Towarzystwa 84 członków, a dziś liczy już 93 członków. W początkach września br. zawiazało się takie samo Towarzystwo w Morzewie; Towarzystwo to liczy dziś 116 członków. Oba Towarzystwa powstały za staraniem ks. Krenza, który pomimo swego niemieckiego nazwiska jest gorliwym Polakiem, a o którym to polakożercze gazety pisały, że jest „ein echter Urpole, der vielleicht die polnische Sprache hat erst erlernen müssen und ein katholischer Geistlicher obendrein“. My zaś dziękujemy Bogu, że nam zesłał takiego księdza, który nie tylko umysły nasze ku Bogu zwraca, lecz nam wskazuje sposób, jakim utrzymać możemy najdroższe po ojcach naszych spuścizny. Serdeczne też dzięki składamy wielce Szanownemu Księdzu Wikaryuszowi, że mimo trudów, mozołów i szczucia „naszych najserdeczniejszych“, założył tak potrzebne u nas i tak pożyteczne Towarzystwo; oby Pan Bóg raczył wynagradzać jego starania około nas, iżby żyjąc długo i szczęśliwie pomiędzy nami mógł doczekać jak najświetniejszego rozwoju Towarzystwa!

Członkowie.

— **Grodzisk**. Towarzystwo śpiewu w Grodzisku urządza w niedzielę, 16-go bm., na sali pana Wenclewicza koncert wokalno-instrumentalny na cel dobroczynny Bliższe szczegóły podadzą afisze.

Zarząd.

— **Śrem** Walne zebranie Towarzystwa Pomocy Naukowej na powiat śremski odbędzie się 16-go listopada o godz. 4-tej w Śremie na sali hotelu „Victoria.“

Zarząd.

Od Redakcyi.

Sępikowi w Poznaniu. — Z powodu nawału pracy dotychczas jeszcześmy manuskryptu nie przeczytali, prosimy o cierpliwość.

Pani Helenie S. w M. — Udaj się Pani co do „Szkółki domowej“ do wydawczyni, pani H. Rzepeckiej w Poznaniu, Piekary 7. „Tajemniczą zbrodnię“ otrzymasz Pani za nadesłaniem nam poprzedniem 75 fenigów.

Panu St. W. - Adresy te wskaże Panu Redakcya „Górnoślązaka“ w Katowicach, ul. Poprzeczna 12. (Kattowitz O. S. Querstrasse 12.)

Pani Cecylii R. z Gostyńskiego. — Wierszyków nadesłanych ze względów prasowych nie możemy zamieścić.

Panu St. K. w Wolsztynie. — Owszem wyszły dwa tłomaczenia, nabyć Pan możesz za pośrednictwem księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin

„Eli“ — Smiechow — Praga. — Artykułów i t. p. zaopatrzonych pseudonimami nie zamieszczamy.

„Sokołowi“ w Gnieźnie. — Zawiadomienie o wieczornicy doszło nas zapóźno już po wydrukowaniu numeru „Pracy“ na niedzielę, dnia 9-go bm.

Panu Janowi K. w Bankau. — Winnagóra leży pod Miłosławiem. Składkę posłać Pan możesz wprost na ręce ks. proboszcza Czerwińskiego w Lubczu pod Rogowem. Miejscowość ta znajduje się w W. Ks. Poznańskiem. Adresuj Pan tak: Lubcz per Rogowo, Pr. Posen.

Panu Teofilowi St. w Ostrowie. — Nie wiemy gdzie się owa pieczęć znajduje, najprawdopodobniej u p. Karola Kr. w Ostrowie. Bliższym adresem służyć nie możemy, gdyż manuskrypty wszelkie, a więc i listy niszczą się natychmiast po zużyciu.

Szanownemu Abonentowi w Górze — Już w najbliższym czasie będzie wszystko w porządku.

Humorystyka.

Rozmowa z kumem.

— Kumo, gdzie wasz syn się obraca?

— Dyć jest teraz w majtkach.

— Tyla to i ja wiem — ale powiedzta no gdzie jest?

— A toć wam gadam, że w marynacie, co to na morzu.

— Ej kumo, kumo! musieliśta chyba za bardzo w kieliszek zaglądać, co takie bajdy plecieta!!

Różnica.

Synek. Mój tatku, czy jest jaka różnica między żydem a starozakonnym?

Ojciec. Jest, i pamiętaj ją dobrze mój Jasiu: starozakonny jest to żyd, który dorobił się majątku.

Na ulicy.

Pijany. Przepraszam... czy panienka nie wie, gdzie mieszka Jan Walczak?

Służąca. Przecież to pan sam jest.

Pijany. To, to ja wiem, ale nie wiem gdzie mieszka.

Podziękowanie.

Wspierający literaturę i sztuki Arcybiskup, serdecznie ukochał humorystę, który u niego mieszkał i razem się stołował. Razu pewnego poeta zaniemógł troszkę i nie mógł przybyć na obiad — Arcypasterz posłał przecie przez lokaja półmisek ryb, z żądaniem, aby mu za to wierszem podziękował. Lokaj Ignacy przyniósł odpowiedź następującą:

— Za przysłane mi ryby smaczne na [półmisku,
Składam najuniżeńszy hołd dla *Arcybisku*,
Pa zaś wtenczas dopiszę, jak sługa [Ignacy,
Przyniesie mi po rybach węgrzyna na [tacy.

Organista w klatce.

— A cóż ty tam chłopcze niesiesz w tej klatce?

— Ptaka, panie.

— A jak się nazywa?

— Worganista, prose pana.

— Organista? a to dlaczego?

— A bo duzo źre, prosę pana, a kiepsko śpiwo.

Mąż. Czy pamiętasz jeszcze, jak mnie twoja mama schwytała na gorącym uczynku, gdym cię po raz pierwszy pocałował?

Żona. Ma się rozumieć. Biedna mama przez dwie godziny czatowała wówczas, zanim się na ten krok zdecydowałeś.

Prosimy odciąć!

Jeszcze wciąż można odnowić przedpłatę na poczcie!

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat Dezember die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,42 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,42 M. erhalten zu haben bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post..............................

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat Dezember die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abtheilung II t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,42 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 0,42 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.............................., den ....

Kaiserl. Post..............................

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonnirt hiermit bei dem Kaiserl. Postamt für das laufende Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Czytelnia Polska“

(Abtheilung II. t. poln. Nr. 13 der Zeitungspreisliste)

☞ für 60 Pfg. ☜

(Imię i nazwisko): ....

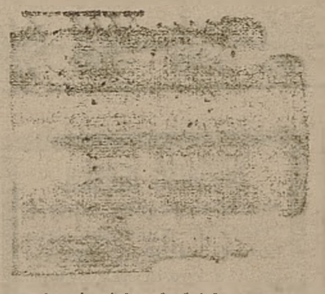
(Mieszkanie): ....

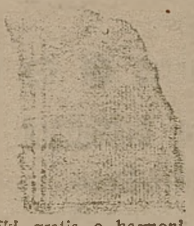
Obige 60 Pfg. erhalten zu haben bescheinigt

..............................,den ....

Kaiserl. Post..............................









K. Suppert

Poznań, św. Marcin 19.

(narożnik Rycerskiej)

hurtownie! Telefon 876 **detalicznie!**

poleca swój znacznie powiększony i w wszelkie nowości zaopatrzony

specyalny pierwszorzędny skład wszelkiego rodzaju zegarków i łańcuszków po zadziwiająco tanich cenach pod gwarancyą.

Biżuteryę

jako poboczny artykuł po bajecznie taniej cenie. 813

Pierścionki fasonowe, zaręczynowe **i obrączki ślubne.**

własny fachowy warsztat reparacyjny



Każde szkiełko do zegarka najlepszego gatunku 0,15 m.
Każda sprężyna do zegarka kieszonkowego 1,— m.
Zegarki kieszonkowe męzkie i damskie 10,— m.
czarne lub srebrne prawnie stępłow. od 10,— m.
Zegary ścienne od 3,50 m.
Regulatory blizko metr długie od 10,— m.
i t. d.

Nader korzystne zakupywania towaru w wielkich **ilościach** wprost z fabryk, zadowolenie się **małym zyskiem** przy olbrzymim obrocie, umiejętny fachowo kupiecki sposób prowadzenia interesu dozwalają mi stawić czoło wszelkiej konkurencyi. **Zasadą** moją **taniość i rzetelność!**

Instrumenta muzyczne.

Kto chce prawdziwie tanio bardzo dobrze i rzetelnie kupować harmoniki, skrzypce, klarnety, flety, trąby, bassy katarynki, samogrające pozytywki (werki), bębny itd., lub chce mieć doskonale i tanio wykonaną reparacyę starych skrzypców i najrozmaitszych instrumentów, niech się uda do fabryki i największego oraz najtańszego składu instrumentów w **Poznaniu** 684

F. NIEWCZYKA

ul. Wilhelmowska nr. 14.

Linoleum — Lincrusta

Wyprzedaż tapet!

Dla usunięcia większych zapasów wyprzedaje przy końcu sezonu

❁ TAPETY ❁

w ładnych deseniach po znacznie zniżonej cenie.

Wielki wybór resztek na pojedyńcze pokoje po nadzwyczaj nizkich cenach.

Antoni Rose.

410

Dekoracyjno-sztukowo — Poznań, Bazar. — Dekoracye na szkło

Telefon 381.

„Manus I“

Najlepsze mydło toaletowe i dla dzieci 40 i 20 fen. w aptekach i drogeryach. 816

Zapytuję się Szanownego Społeczeństa gdzie by mógł z pewną egzystencyą rodak zawodu 817

tokarz

się osiedlić. Wydoskonalony tak do mebli, jako też do budowli, w zakres tego fachu wchodzące. Zgłoszenia przyjmuje ekspedycya Pracy pod lit. **M. G. No. 155.**

Bardzo tanio

jest na sprzedaż gr.

płaszcz watowany i peleryna

w dobrym stanie.

Dowiedzieć się można na Rycerskiej ulicy nr. 7. IV. piętro z frontu pomiędzy godziną 1—3 i 5—7.

Kucharz

kawaler, znający się na ogrodnictwie i dobry myśliwy znajdzie miejsce od 1. 1. 1903 r.

Dobieszewice p. Amsee.

Dobre mydło

kupuje się w fabryce 42

St. Żychlińskiego w Gnieźnie.

Piegi usuwa i konserwuje płeć

hygieniczne mydełko lanolinowe.

Swiece kościelne każdej wielkości.



Premiow. w Krakowie 1900 na wystawie Przyrodniczo lekarskiej.



Bilety wizytowe

*

Karty polecające

*

Karty obiadowe

wykonuje gustownie, szybko i tanio

Drukarnia „Pracy.“

Poznań, Rycerska ul. 38.

Bardzo ważne dla nadchodzących wyborów

jest

Prawo o zebraniach i stowarzyszeniach

w państwie niemieckiem,

opisujące: 806

Zebrania w miejscach zamkniętych, sprawy publiczne, polityczne, kto ma donieść policyi o zebraniu, której policyi trzeba donieść, obowiązki i prawa policyi, rozwiązanie zebrania, zebrania pod gołem niebem.

prawa robotników,

zbieranie składek i obronę prawną.

Dodatek zawiera: Prawo o rozszerzaniu pism i druków oraz zestawienie wyroków najwyższych trybunałów

Kto się chce pouczyć, ażeby w danym razie wiedzieć, jak sobie w obec policyi postąpić, niechaj się jak najspieszniej w ten tak **niezbędny podręcznik dla każdego Polaka** zaopatrzo; kosztuje on **60** fen., z przesyłką **65** fen. i jest do nabycia w wszystkich księgarniach polskich oraz **w księgarni Antoniego Stoca w Katowicach G. Śl.**

U doktora.

Okulista. (kończąc badanie.) Ależ człowieku, przecież oczy bolą was pewno już od dawna?

Chory. O tak, już ze dwa lata!

Okulista. A dla czego nie przyśliście prędzej do mnie?

Chory: Myślałem sobie, że z oczami żartować nie można...



Na wsi.

— Hej, Bartku, którędy jedzie się do Wólki?

— A zkąd pan wie, że ja się nazywam Bartek?

— Oho! ja wszystko wiem.

— Skoro pan taki mądry, to pan powinien wiedzieć, którędy się jedzie do Wólki!

Gospodyni

praktyczna, energiczna, obeznana zapełnie z wiejskiem gospodarstwem i lepszą kuchnią, potrzebna od zaraz lub od Nowego Roku w 781

Dom. Żrenicy

pod Środą (Schroda).

Ucznia

do destylacyi

poszukuje 819

I. Maciejewski

Poznań, Chwaliszewo 71.

Poszukuję młodego, zdatnego 815

pomocnika

zegarmistrzowskiego zaraz lub od 1-go grudnia.

M. Stankowski zegarmistrz Ostrowo (Posen).

Aby wyprzątnąć wszelkie **filcowe obuwie** będę takowe (727)

po bardzo taniej

cenie wyprzedawał.

S. Lisiewicz

Poznań, Berlińska ul. 12.

Mam 788

skład

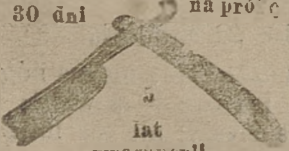
w najlepszym położeniu handlowem do wydzierżawienia,

W. Wąsowicz

Inowrocław.

Za darmo wysyłam mój wielki **katalog illustrowany,** zawierający wiele nowości w **towarach stalowych z Solingen,** broni, biżuteryach złotych i srebrnych, naczyniach gospodarczych etc. etc.

30 dni na próbę



5 lat gwarancyi!!

wysyłam 1 brzytwę nr 27 pięknie szlifowaną włącznie pochwy 1,50 m. Nr. 29 ślicznie wyżłobioną, 2 m, Nr. 88 ff. wyżłobioną 2,50 mk. Brzytwa zabezpieczająca od zarżnięcia, patentowana, 3 mk. Za niepodobające się zwracam pieniądze. 673

Emil Jansen,

dom tow. stal. fabrycz.-wys.

Wald-Solingen 23 P.

Przy zakupnach i sprzedażach prosimy Szan. Czytelników powoływać się na „Pracę“, jako na źródło, skąd odnośne informacye zaczerpnęli.

Co tylko wyszło:

Der kleine Rechtsanwalt

von Dr. F. Koenig.

Dzieło to w języku niem. zawiera objaśnienia prawne we wszystkich sprawach sądowych, jak skarżyć, jak się bronić samemu przed sądem, wraz z podaniem kosztów sądowych i adwokackich, według najnow. prawa, z wielu formularzami i przykładami.

Niezbędne dla każdego.

Cena egzemp l. 1 rk. z fr. przesyłką 1,10 mrk. przez zaliczkę 1,35 mk.

Księgarnia

N. Kamieńskiego i Sp.,

Poznań, św. Marcin 16/17.

Wszelkie nowości w artykułach męzkich

jako to:

kapelusze, krawaty, rękawiczki, kołnierzyki bieliznę,



drążki do firan i portyer, rozety, rolosy, ceraty

Tapety

(przeszło 500 deseni)

poleca po umiarkowanych cenach

W. HAHN (Władysław Hahn.)

POZNAŃ, Stary Rynek nr. 55.

810

Niesłychanie tanie a jednak prawdziwe!

ALBUM

Sławnych mężów polskich w wielkim formacie zawiera 72 portretów najznakomitszych naszych poetów, historyków, powieściopisarzy, artystów, malarzy, rzeźbiarzy, ojców kościoła katol. i t. d. **najstaranniej i trafnie wykonanych w bogatej oprawie z wyciskami złoconemi na okładce i kosztuje tylko 1 ark ę, z przesyłką** 1,30 m., przez zaliczkę 1,55 m.

Księgarnia

N. Kamieńskiego i Sp.,

Poznań, ul. św. Marcina 16/17.

Wioska

w okolicy Gniezna tylko 2 klm. od szosy ca 800 mórg. incl. 40 mg łąk, z niewyczerpanym pokładem torfu, *ziemia przeważnie pszenna i w wysokiej kulturze,* budynki kompletne, murowane, pod papą. *Dom mieszkalny nowy w rodzaju willi,* murowany, pod łupkiem na suterenach, o 8-miu wygodnych, obszernych pokojach i t. d. inwentarze kompletne i w porządku, od miasteczka i szosy tylko 1 klmtr. *przy zaliczce 75,000 mk.* 300 mk. za morgę. Oferty upr. do ekspedycyi „Pracy“ pod *No. 2365.*

Meinel & Herold

Harmonika-Fabrik, Klingenthal (Sachs.) Nr. 181



vers. unter Garantie direct an die Spieler per Nachn. ihre vorzügl. Harmonikas.

Nur $4\frac{1}{2}$ M.

kost. eine solide Conz.-Zug-Harm. m. 10 Tast., 50 stark. Stim. (2 chörig). Pa. Stahlfederung, off. Claviatur, 8 theil. (11 falt.) weit ausziehbarem Balg mit Metallschutzecken, vernickelte Metallbassklappen, Größe ca. 33 cm, dieselbe Harmonika, 3 echte Register, 3 chörig, 70 Stim., prächt. Orgelton, kostet **nur 6 M.** Selbsterlernschule u. Holzkiste umsonst hierzu. 2, 3, 4, 6, 8 chörige; 2 u. 3 reih., sowie sogen. Wiener Harmonikas in ab. 120 Nr. staunend billig u. doch gut. Neuester Catalog (100 Seiten stark m. 200 Abbild.) ums. Musikwerke, Violinen, Mundharm., Bandonions, Zithern billigst. Garantie: Zurücknahme und Geld retour. Kein Risico.

Ueber 5000 Dankschreiben.

Sędzia (do oskarżonej). Pani tak się zapiera, a przecież rysopis zupełnie się zgadza: śliczna twarz, młoda zgrabna nóżka..

Oskarżona (przerywając) Panie sędzio przyznaję się do winy.

Tanie czeskie pierze na pościel.



10 funtów: nowego dobrze dartego 8 mrk., lepszego 10 mk., białego jak kwap miękiego, dartego 15—20 mrk., śnieżnobiałego jak kwap miękiego, dartego 25—30 mrk. —

Wysyłka franko i wolna od cła za zaliczką. Wymiana i zwrot towaru, za zwróceniem porta, dozwolona. 748

Benedickt Sachsel, Lobes 365.

Post. Pilsen, Böhmen.

Pismo jak

„PRACA“

powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim!

Abonament na miesiąc grudzień wynosi na poczcie **tylko 42 fen.**

Humorystyka.

Ze starych kronik.

...I zabrzmiały trąby brzmiące,
I zagrały huczne rogi.
Zaroiły się od ludu
Podzamkowe wszystkie drogi,
A na moście, na zwodzonym
Stanął herold z taką wieścią:
„Książę pragnąc wydać córę
Z należytą za mąż cześcią,
Zapowiada: Tenci weźmie
Książęcego rodu córę,
Kto w śmiałości i odwadze
Nad innymi weźmie górę...“

Rozpoczęły się turnieje,
Walki krwawe, boje srogie,
Na niedźwiedzie albo tury
Młodzi czynią łowy mnogie.
Ten jest dzielny, ów zaś mężny,
Tamten tęższy od owego,
Ale serca młodej dziewki
Niestopione lody strzegą....

Nagle trąby znów zabrzmiały
Przy zwodzonym zamku moście,
Jedzie rycerz nieznajomy,
Z za rzek, z za mórz jadą goście.
Poczet zacny i bogaty,
A na pocztu tego przedzie
Rycerz cudny jako słońce
Na bachmacie siwym jedzie.

Most przejechał, skoczył z konia,
Na krużganki wszedł zamkowe,
Księciu skłonił się przystojnie,
Tuż przed księżną schylił głowę,
A księżniczkę, do niej potem
Wygłosiwszy jak miód mowę,
Ucałował — w same usta,
Jak kwiat róży purpurowe...

Potruchlało wokół wszystko,
Widząc śmiałość taką hardą
Jeden, drugi pachoł z straży
Jął już szczękać halabardą,
A księżniczka mdlejąc, szepce:
„Panie ojcze, swataj córę!
Ten ci rycerz w cnej odwadze
Nad innymi wziął już górę...“

Zgadła.

Konkurent: — O, pani, pani nawet nie zgaduje, nie wie, od jak dawna serce me ku niej zabiło!

Ona: — Owszem, wiem dokładnie, od chwili gdym odziedziczyła spadek.

W sądzie.

Obrońca oskarżonego lichwiarza: — Pan prokurator powiedział, że nie pojmuje, jak oskarżony może pogodzić pobieranie takich wysokich procentów z własnem sumieniem. Panowie! Czyż oskarżony jest winien temu, że robak sumienia nie należy do jego zwierząt domowych?

Z rozmów na zabawie.

Po ożywionej rozmowie, panna do młodzieńca, który wygląda więcej, niż inni, na kandydata do ożenku:

— Może pana przedstawić mojej mamie?

A młodzieniec na to bardzo nieśmiało:

— Ja sądzę, proszę pani, że to zbyteczne... Mamę pani ja sobie i tak — przedstawiam...

Osieł i cielę.

Jaki też to osieł ze mnie!
Tak się raz ciele łajało;
Że się przelękło daremnie,
I jak głupie uciekało.
A gdy się tak rozwodzi,
Jakieś oślątko nadchodzi;
Idzie, idzie zadumane,
Łbem się uderza o ścianę
I mówi myśląc nie wiele
Jakie też to ze mnie cielę!

Tak i ludzie z siebie szydzą,
I w swych błędach drugich widzą.

Fr. Morawski.

Złośliwie.

— Czyś słyszał, że bankier Iks poniósł podobno na giełdzie olbrzymie straty?

— Co? ten Iks, którego córka wyszła za hrabiego?

— Ten właśnie!

— No, no, to dopiero pan hrabia się zadziwi, jak się dowie, że się ożenił z miłosci!

Bezinteresowny.

— Bądź pan przekonany, że miłość moja do córki pana jest najzupełniej bezinteresowna! Cały posag zwracam wierzycielom.

Zawsze praktyczny.

— Ależ panie, u pana w kuchni cały wodociąg otwarty!

— Wiem, wiem! Piszę właśnie pięciotomowe epos o „Potopie“, więc to mi nieco ułatwia polot myśli!

Różne powstają stowarzyszenia.

Po długich rozprawach i naradach mężowie postanowili wreszcie założyć stowarzyszenie, które będzie miało na celu radykalne ucięcie łba hydrze zwanej modą.

Oczywiście do stowarzyszenia zapisze się skwapliwie i pani Iks, która jednak przedtem odbędzie z mężem poufną konferencyę:

— Mój mężulku, daj mi 300 marek na wydatek niecierpiący zwłoki.

— Jakiż to wydatek?

— Muszę sobie kupić kostjum na pierwsze posiedzenie towarzystwa, mającego za zadanie walczenie ze zbytkiem w stroju...

Opierunek.

— Patrz, złodziej zakrada się do twego domu, a ty się śmiejesz?

— Smieję się, bo moja żona będzie myślała, że to ja tak późno wracam do domu i sprawi mu opierunek!

W więzieniu.

Dwóch żydów siedziało w jednem więzieniu; jeden za to, że skradł krowę, drugi, że ukradł zegarek.

— Herszku, która godzina, zapytał pierwszy, chcąc dokuczyć koledze.

— Nie wiem, Moszku, odpowiedział zapytany, ale zdaje mi się, że akurat będzie czas na dojenie.

Sport.

Zagadka dla myśliwych.

Niema krwi — a żyje; nie ma nóg — a chodzi; nie ma ócz — a widzi; nie ma uszów — a słyszy; nie ma futra — a nie marznie w zimie.

Rozwiązanie zagadki dla myśliwych.

Zwierzęciem takiem jest zając — bo nie ma krwi — lecz farbę, nie ma nóg — lecz skoki; nie ma ócz — lecz ślepie; nie ma uszów — lecz słuchy; nie ma wreszcie futra — lecz turzycę.